

Jurij Szczerbak

Z kroniki miasta Jaropola



Państwowy
Instytut Wydawniczy

Szczerbak

Z kroniki miasta Jaropola

**Państwowy
Instytut Wydawniczy
Warszawa 1983**

Jurij Szczerbak

Z kroniki miasta Jaropola

czyli

prawdziwa opowieść w historycznych relacjach przedstawiających różne wydarzenia, obyczaje, mity, legendy, chimeryczne fakty oraz życiorysy wybitnych mieszczan przesławnego ukraińskiego miasta Jaropola w dwudziestym stuleciu nowej ery.

Przełożył

Florian Nieuważny

Tytuł oryginału ukraińskiego:
«Z chroniky міста Jaropola»

Opracowanie graficzne i typograficzne
Wojciech Freudenreich

© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 5000 + 250 egz. Ark. wyd. 6,5. Ark. druk. 9

Papier offset kl. III 100 g 70×100 cm

Oddano do składania 25 maja 1982 r.

Podpisano do druku w listopadzie 1982 r.

Druk ukończono w styczniu w 1983 r.

Zakłady Graficzne w Torunlu

Nr zam. 887 Z-99

Cena zł 80,-

ISBN 83-06-00839-1

*Ciągle pytamy i wciąż nie wiemy:
Po co nas matka na świat wydała?
By tworzyć dobro? Zła głosić chwałę?
Po co żyjemy? Czego pragniemy?*

Taras Szewczenko

Wstępne słowo do czytelników moich szlache-
tnych, dla których zacząłem pisać tę historię.

Prawie czterdzieści lat temu postanowiłem ułożyć dla was, przezacni i mądrzy przyjaciele moi, ujęty w pięknym i wysokim stylu latopis, aby powstała z niego nowoczesna powieść lat doczesnych miasta mego Jaropola. Ato-
li rozmaite burzliwe wydarzenia mego życia nie pozwa-
lały mi usiąść za stołem i chwycić za pióro. Nastąpił jed-
nak wreszcie dzień, kiedy uświadomiłem sobie, że nie
mogę dłużej zwlekać ze swoimi wspomnieniami, jeżeli
rzeczywiście pragnę, abyście poznali dziwne i niezwykle
wydarzenia, których byłem świadkiem. Bo oto dobiegają
końca dni mego życia, a zbocza nad Bohunką pokryły
się śniegiem i zaszklify się leśne jeziora, zaś jakiś głos
powiada: już czas, bracie, już czas! Znużyło się ciało
moje nieustanną krzątaniem ziemską, zmęczył je wiatr,
ziąb, spiekota, serce pracuje nieregularnie i ledwie wy-
trzymuje zwiększoną aktywność słońca i katastrofy jono-
sfery. I powolutku zaczynam zapominać, najmilszi potom-
kowie moi, te dawne czasy, kiedy grałem w reprezenta-
cji koszykówki Jaropola, kiedy lekko i pewnie przedzie-
rałem się z piłką przez najściślejszy pressing, wyskakiwa-
łem ponad kosz i pewnym ruchem ręki wkładałem do
niego piłkę. Gdzież te moje czasy? Zmęczyło się nie
tylko ciało, ale i mózg. Ledwie łapię oddech od nadmia-
ru informacji. Korytarze mego mózgu przypominają raczej
archiwum nie istniejącego państwa — taki panuje tu za-
snuty pyłem spokój, taki błogi bezruch. Ale spoczywają

tu pewne nadzwyczaj ciekawe dokumenty, z którymi pragnę was dzisiaj zapoznać.

Oto dlatego siedzę teraz przy stole w pustym moim domu. Za oknem gwizdże wiatr, na szybach wyrastają lodowe paprocie, a śnieg wygląda tak, jakby go ktoś polał ultramaryną — to ziemia obraca się ku nocy. Pochyliam się nad białymi arkuszami papieru, które moja starcza ręka pokryła nierównymi szeregami liter. Od czasu do czasu rzucam wzrokiem ku piecowi, gdzie wesoło migoce płomień, patrzę na języki ognia i mimo woli łzy napływają mi do oczu. Z czarnoczerwonymi, żółtymi, malinowymi i niebieskawymi językami ognia dzieje się coś niezrozumiałego: w nieuchwytnym pelzaniu ognistych, wciąż zmieniających się płomieni to jawi się raptem jakaś znajoma mi twarz, wygląda spoza czerwonych węzowych ogonów, zatrzymuje wzrok i niknie w swojej czarnej kryjówce pozostawiając nikły ślad w mojej duszy; to spośród iskier i mamrotliwego jęku wyrwie się jakieś szczególne słowo niby sama iskra — i wypali wszystko dokoła; to znów zjawi się mi jakaś dziwna falista kompozycja w jarzeniu płomienia, jakiś odległy rok z przeszłości zapała skrzącym malowidłem i polecą nie wiadomo dokąd pędzony wiatrem; to wreszcie wśród trzasku konających sosnowych polan zrodzi się myśl jakowaś i trwa, póki nie zniweczy jej dookolny płomień, tak że nie ostaje się po niej nawet popiół...

Tak to bywa, moi wielce szanowni, biegli w naukach i mądrościach czytelnicy! Naocznie bowiem pokazałem wam, po co i w jaki sposób piszę u schyłku wieku ową kronikę, czyli poddania, legendy, mity razem z dziwnymi historiami przesławnego miasta mojego Jaropola. Pisanie tym wypełniam, jak mogę najlepiej, tylko swój skromny obowiązek, który był jedyną główną myślą przyświecającą mojej mizernej a pokornej pracy.

Dan w Jaropolu, roku 1998 w listopadzie, dnia 29.

Rozdział pierwszy,

w którym będzie mowa o występach cyrku z udziałem słonia Jumbo, sióstr Mangoupe-Calais, Człowieka Bez Rąk, klowna Wolfganga Dżu-Si, iluzjonisty Basileusa oraz wielkiego maga i czarodzieja Alfreda Makaronowa, gdzie spotkamy również przyszłych bohaterów naszej powieści i gdzie znajdzie się miejsce dla rozważań nad pewnymi problemami ogólnoludzkimi.

Roku tego, pierwszego po zakończeniu Wielkiej Wojny, posucha bardzo okrutna na całej Ukrainie była i szkody niezliczone poczyniła — zboże wszelakie i trawy wygorzały doszczętnie i drożyzna była wielka na chleb i na sól, i na siano, i na mięso; a zima jeszcze straszniejsza nadeszła, bo lute mrozy ścisnęły na Boże Narodzenie, a palić w piecach nie było czym; większość ludzi nie miała domów i mieszkała w ziemiankach, bo sonderkommanda, zanim się wyniosły na ziemie niemieckie, popaliły wieś i miasto nasze Jaropol też niemal całe zniszczyły. A że mężów ukraińskich poginęło siła na wojnie, to pojawiło się mnóstwo kobiet — sierot i wdów. Kobieciny te lichy były odziane: jedne w szynelach jadowicie zielonych z cynowymi guzikami, inne w czapkach wermachtu na zajęczym futerku, a jeszcze inne to w podartej kufajce, to w sukience z worka, na którym czarną farbą były wydrukowane słowa: *Zucker. Gebeitskommissariat für Ukraine.*

I ruszyły przez Jaropol pociągi aż czarne od ludzi: z zachodu, z ziem niemieckich, węgierskich, rumuńskich jechali żołnierze z akordeonami inkrustowanymi różową masą perłową i z rowerami; a w ich workach było pełno jedzenia — amerykańskie konserwy w blaszankach

ze specjalnymi kluczykami, na które nawijały się błyszczące metalowe smużki, wojskowy komiśnik, kielbasa pachnąca dymem brzoźowych polan, płaty stoniny, grube tabliczki czekolady. A ze wschodu jechali głodni ludzie za chlebem i ziemniakami na Ukrainę Zachodnią — na dachach wagonów towarowych, na oblodzonych stopniach, na jazgocących buforach. Koło Jaropola drogę kolejową przecinał most: sto metrów przed tym mostem na drucie ponad wagonami przywiązano specjalne sznury zakończone ciężkimi węzłami, aby budziły tych, którzy spali, aby pasażerowie na dachach przyginali jak najniżej głowy.

Roku owego w naszym Jaropolu zdarzały się różne historie — wesole i smutne. Ale jedna z nich najbardziej trwale odcisnęła się w mojej pamięci, moi miłujący życie czytelnicy, i o niej chcę opowiedzieć w swoim wspomnieniu.

Oto do naszego zaśnieżonego, zrujnowanego i głodnego miasta przyjechał cyrk. Cyrk przyjechał! W pobliżu fortecy Potockiego jacyś poważni ludzie w waciakach postawili maszty, wbili w zamarznęty grunt stalowe „śleddie“, naciągnęli linki — i już stanął namiot cyrkowy. Wielkie brezentowe *chapiteau*, brudnoszara buda, niczym żagiel rozpięła się nad miastem. Potem zjawiły się furgony — zniszczone, obszarpane studebakery przywiozły rekwizyty, klatki ze zwierzętami; placyk, gdzie zatrzymali się cyrkowcy, zalany był benzyną, czarnymi plamami oleju, zagracony pudłami, skrzyniami, jakimiś dziwnymi konstrukcjami, lśnącymi kołami i olbrzymimi hantlami. I od razu to wesole miasteczko napełniło się rykiem głodnych bestii i marszem Dunajewskiego: z trąb i saksofonów wylatywała para i najlepiej czuł się perkusista — grał w ciepłych futrzanych rękawicach, wskutek czego rytm galopu był ogrzany wewnętrznym ogniem sprzeczności między treścią wykonania a jego formą.

A w Jaropolu tymczasem pojawiły się afisze, które

wniosły do surowej monotonii życia miejskiego element tajemniczości — zdawało się, że cyrkowcy przywędrowali do nas z jakichś innych światów:

Tresowany słoń – powietrzny ekwilibrysta!
Siostry Mangoupe-Calais – $2 \times 2 = \text{Orlando!}$
Iluzjonista Basileus w nowym numerze!
Cały wieczór na maneżu kłown Dżu-Si!
Człowiek Bez Rąk – najlepszy strzelec wyborowy świata!
Grupa tygrysów bengalskich pod kierunkiem doktora Dziurki!
Eksperymenty psychologiczne – Alfred Makaronow!

Możecie sobie państwo wyobrazić, co znaczyły dla naszego miasta te kolorowe barbarzyńskie afisze, które raptem znalazły się na skrzyżowaniach, bezczelnie pyszniąc się na popalonych murach budynków, parkanach i murach zamkowych. Dla wielu ludzi znaczyły one więcej niż uchwały konferencji w Poczdamie, ponieważ zaświadczały z całą oczywistością: wojna się skończyła. Wojna się skończyła, zrzucicie z siebie jej brudne, krwawe szaty, pokój zapanował na waszej ziemi, ludzie.

Koło kas cyrku ustawiły się długie kolejki. Słońce płonęło czerwoną pochodnią w mroźnej mgle, po tymczasowym moście, przerzuconym przez Bohunkę, pełzły gazogeneratorowe auta z czarnymi butlami przy kabinach; w kolejce toczyły się rozmowy o drwach i kartoflach; ktoś puścił słuch, że bilety można będzie otrzymać dopiero po okazaniu zaświadczenia o dezynfekcji, tak jak na stacji kolejowej. Druty telefonu wojskowego napięły się srebrnymi strunami, a mróz wygrywał na nich swoje wesole pieśni o zajęczkach i choinkach; pionowe słupy dymu podpierały pustynne niebo; miasto dzwoniło jak złodowaciałe drzewo w niebieski styczniowy dzień.

Ale oto nareszcie zapalają się światła cyrku. Konfeksjer w smokingu (rzecz niespotykana w Jaropolu od

czasów wyprawy Piłsudskiego) zamachał rękami, a perkusista (nareszcie bez rękawiczek) zabębnił na alarm. Bij, bij, bij, bębnie — dźwięczne serce cyrku! Za kulisami, w zimnym baraku przybudowanym do namiotu, wszczął się niewiarygodny harmider; jakby raptem zapaliły się żółte latarki. To miotają się tygrysy przejęte artystyczną ekstazą; obsługa ciągnie rydwan z czasów wojen judejskich, a konstrukcja ta ma utrzymać ważki i słodki ciężar ciał sióstr Mangoupe-Calais; konferansjer zdecydowanym krokiem zmierza do wyjścia, do czerwonej pluszowej zasłony; poważnie poprawia mankiety Alfred Makaronow — człowiek, którego boją się wszyscy w cyrku, ponieważ odczytuje myśli na odległość. Młodziutkie tancerki wyciągają nogi do nieba — swoje piękne zgrabne nogi w różowych trykotach. Rżą konie dżygitów, magik Basileus połyka prawdziwe jajka — naprawdę łyka; spokojnie siedzi otulony w baranicę mały karzełek w cwikierze — doktor Dziurka, groźny pogromca, którego jak ognia boją się wszystkie tygrysy Bengalu i Dalekiego Wschodu.

A na widowni, w skleconym z desek amfiteatrze, cały Jaropol czeka z zapartym tchem na początek cyrkowego przedstawienia. Przyszedł nawet niewidomy S.W. Mykytaś, któremu iperyt wypalił rogówkę na galijskich równinach w 1918 roku; jest tu również rencista Serhij Onysymowicz Nabokow w zielonym frenczu z białym kołnierzykiem, brwi ma siwe i groźne; Kindrat Smoła z małżonką i synem Iwanem — na piersi Kindrata podzwaniają ordery; zjawił się wysłannik muz — artysta D.W. Smahlj — członek jaropolskiego oddziału związku plastyków; sędziwy Diodor Czerwinka zajął swoje miejsce w pierwszym rzędzie; przyszedł trener bokszerski Wiaczek Dworzak, aby przyrzeć się muskułom przyjezdnych atletów. W centralnej łoży zajął swoje miejsce kierownik wydziału kultury, A.W. Mykytaś; profesor Chołodny zapragnął również zobaczyć cudo sztuki cyrkowej — siostry

Mangoupe-Calais. Nawet matka Walerego Orłyka przyprowadziła swojego chłopca; na czapkę zimową włożył ten nicpoń hełm niemiecki i za nic nie chciał go zdjąć, aż zdenerwowana matka walnęła po nim pięścią tak, że hełm zadzwonił jak dzwon na cerkwi Świętego Mykoły. Krótko mówiąc, zebrali się wszyscy wielcy i mali mężowie naszego sławetnego grodu, a wśród nich byłem również ja, wasz pokorny sługa, stateczni czytelnicy moi. A że mężczyzn w Jaropolu pozostało rzeczywiście mało, to moi bohaterowie zagubili się wśród kobiet i dzieci-sierot, roztopili się, jak to bywa nawet z najznakomitszymi osobistościami, które z woli niebios dostaną się w wir ludzkiej ciżby łaknącej rozrywek i zapomnienia.

Bij, bij, bij, bębnie — dźwięczne serce cyrku! Konferansjer wyniósł na arenę swoje przypudrowane hrabiowskie oblicze i głosem nadającym się raczej do ogłaszania wojen światowych donośnie oznajmił:

— Rrozpoczynamy ... brrabolanss ... perrewentual!

Orkiestra hałaśliwie zagrała tusz, ceremonialnym marszem wkroczyli na arenę czerwoni, kapiący od złota pomocnicy w brezentowych spodniach z generalskimi lam-pasami; wielu z tatuażem na rękach.

I nagle w tym momencie rozległ się taki przenikliwy i mrozący krew w żyłach gwizd, że część jaropolskiej publiczności wlaźła pod ławy, bo tak samo wyły pikujące bombowce w czasie bombardowania mostu na Bohuncce. Ale oto z niebios zleciał mężczyzna o smutnych oczach i czarnych wąsikach, w ciemnym filcowym kape-luszu z tak ostrymi kresami, że chyba można nimi było krajać kielbasę, w ogromnych buciorach i przykrótkiej marynarce — słynny kłown Wolfgang Dżu-Si. Teraz z groźnym poświstem lecał z nieba dwa worki, kłown łapie je i ustawia na środku areny. Konferansjer pyta groźnie, co to ma oznaczać. Wolfgang Dżu-Si odpowiada dziecinnym falsetem, że postanowił pracować w cyrku. „A co pan umie robić?” — pyta głośno konferansjer od-

wracając dwakroć swoją hrabiowską twarz do publiczności. Kłown ma oczy maleńkie niby dwie szparki wypilowane żelaznym pilnikiem w masce żelaznej. Odpowiada, że przygotował bombowy numer. Obsługa wnosi wielki młot, a Wolfgang Dżu-Si co rychlej rozwiązuje jeden z worków, z którego wyciąga czerwoną cegłę, kładzie ją sobie na głowie i proponuje prowadzącemu przedstawienie, aby rozbił ją młotem. Wszyscy zamierają, kiedy ciężki młot unosi się wysoko nad głową kłowna — miarowy warkot bębna, potem martwa cisza. Prowadzący z całej siły wali młotem, cegła rozpada się na kawałki, czerwony puder obsypuje twarz i ramiona Wolfganga Dżu-Si, orkiestra gra tusz. Kłown wyjmuje nową cegłę — znowu uderzenie młotem i znów kłown uśmiecha się spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło. Wesola zabawa wciąga konferansjera. Zrzuca czarny surdut, zostaje w futrzanej kamizelce, a potem zrzuca i ją, zakasuje rękawy i spocony, czerwieniąc się z wysiłku, rozbija wciąż nowe cegły na głowie kłowna. Nareszcie worek opróżnia się, a cała arena zastana jest tłuczoną cegłą jak plac budowy. Wówczas to Wolfgang Dżu-Si zarzuca na barki drugi worek i powoli człapie opuszczając arenę. „A co jest w tym drugim worku?” — krzyczy za nim zmęczony konferansjer. „Gardan” — piszczy w odpowiedzi kłown nie odwracając głowy i znika za pluszową kurtyną.

„Ten numer ma wielkie znaczenie wychowawcze” — mówi sam do siebie S.O. Nabokow przyglądając włosy, które jednak nieco się zjeżyły.

A na arenę tanecznym krokiem wyskakuje słoń Jumbo i wszyscy widzą, że słoń ma protezę zamiast jednej nogi, bo nocą w Kupiańsku Niemcy zbombardowali pociąg z ewakuowanymi zwierzętami — zginęła wówczas siostra Jumbo, a jemu trzeba było amputować nogę w szpitalu polowym. Jumbo wspina się zgrabnie po drabinie w górę na specjalny balkonik, od którego ciągnie się lina do drugiego balkonu. Trąbą chwytą pomalowaną sztan-

gę i wkracza na linę. Słysząc, jak wiatr łopocze brezentowymi ścianami cyrku. Popatrzcie, jak Jumbo mimo protezy tańczy dostojnie na linie w takt serenady Schuberta, jak cicho poskrzypuje jego proteza ze skóry i metalu, jak balansuje w powietrzu sztanga! Moi drodzy, twierdzą, że do nas przyjechał nie jakiś tam prowincjonalny cyrk, ale prawdziwa cyrkowa akademia godna naszej epoki. A propos, tę myśl podziela także S.O. Nabokow, który również po tym numerze powiada do siebie pouczającym tonem: „Ten numer ma także wielkie znaczenie wychowawcze.”

Dobrze, dobrze, zobaczymy, co będzie dalej. A dalej dzieje się ot co: na arenie zjawia się podstępny Basileus — woskowa twarz bizantyjskiego świętego, czarna bródka, cichy skradający się krok. Podkrada się do konferansjera i pyta:

— Kim jesteś?

— Ja? — z pychą nadyma się konferansjer. — Jestem dyrektorem cyrku, dyrektorem nieba i ziemi, całego wszechświata.

— To teraz sprawdzimy, kim jesteś — spokojnie odpowiada podstępny Basileus i odkręca jakiś guzik na jego surducie. Dostojna hrabiowska postura znika za kłębami dymu — i wszyscy słyszą świst powietrza wydobywającego się z ciała konferansjera niby z poduszki tlenowej. Publiczność śledzi w milczeniu, jak zmniejsza się i przepoczwarza jego postać — oto ma już wymiar niewielkiej lalki, a teraz jest jeszcze mniejszy i nareszcie nie widać go wcale na rozścielonym kilimie. Basileus nachyla się, bierze do rąk to, co zostało po rozmówcy, i rzuca do pierwszych rzędów. Widzowie przekazują z rąk do rąk płaską gumkę wielkości dłoni niby nadmuchiwaną zabawkę za 80 kopiejek. Potem zwracają ją sztukmistrzowi. Asystenci podają Basileusowi olbrzymią pompkę, a on podłącza do gumki rurkę i zaczyna wdmuchiwać powietrze. Na arenie wyrasta mały kucyk, który rzy wesóło

i potrzęsa zamszową grzywą. Basileus zaprzęga konika do wielkiej karety, bierze bat i chwytą lejce, do karety wsiadają pomocnicy: kucyk bijąc kopytami w trociny ciągnie karekę ze sceny wzdłuż szeregów osłupiałych widzów. Występ Basileusa budzi w duszy S.O. Nabokowa mieszane uczucia: z jednej strony numer podoba mu się, bo ma wielkie znaczenie wychowawcze unaoczniając, że wśród nas są ludzie ukrywający swoje prawdziwe oblicze, a z drugiej — S.O. Nabokowa niepokoi zagadnienie, czy ten numer nie podrywa aby autorytetu?

Orkiestra gra uroczystego marsza i na arenę godnie i dostojnie wkracza Człowiek Bez Rąk — Zasłużony Artysta Łobko-Łobkowski — w jedwabnym cylindrze i czarnym fraku bez rękawów. Po prostu ten wielki artysta urodził się na początku stulecia bez rąk i rękawy nigdy nie były mu potrzebne. Łobko-Łobkowski siada przy stoliku, eleganckim ruchem nogi zdejmuje z głowy cylinder i rzuca pomocnikom. Potem wyjmując nogą (wszyscy widzą mocne żółte paznokcie artysty, jego spracowane podeszwy) z bocznej kieszonki grzebyk i rozczesuje włosy, drugą nogą przytrzymując lusterko. Następnie wyciąga ze stojącej przed nim walizki butelkę szampana i kryształowy puchar. Och, ten zielony szlachetny błysk butelki! Och, ta srebrna cynfolia otulająca gardziółko flaszki! O, złote medale na czarnej etykiecie! Oto są — owe lśniące, powabne niby cieniutkie szkło, dawno zapomniane symbole pokojowego życia: cicho dzwoni ogromny zegar, ażurowe wskazówki zamarły na cyferblacie w stylu Pierwszej Republiki, błyszczą parkiet i w pokoju pachnie choinką, a ciche lata pełzną jedno za drugim jak domowe mądre żółwie, nie pozostawiając po sobie krwi. Łobko-Łobkowski rozumie powagę chwili: powoli prawą nogą odkręca druciki oplatające szyjkę butelki. Męcząca sekunda oczekiwania — nareszcie szampan wybuchą radośnie. Człowiek Bez Rąk sprytnie przerzuca butelkę z nogi do nogi, nalewa pieniący się płyn do

kielicha i wypija go za nasze zdrowie. Orkiestra gra melodię Kálmána, wszyscy klaszczą. A tymczasem Łobko-Łobkowski wyjmuje z walizki karabin Mosina i „łódkę“ z nabojami. Szczeka zamek, na drugim końcu areny wdrapuje się na specjalną podstawkę Wolfgang Dzu-Si. Zdejmuje swój ciemny kapelusz i ustawia na głowie czerwone jabłko. Dudni bęben. Łobko-Łobkowski siedzi w fotelu i starannie celuje w jabłko. Sekunda... i jego noga naciśnie cyngiel... Ale raptem Wolfgang Dzu-Si ucieka i tylko olbrzymie jabłko wisi w powietrzu na tym samym miejscu, gdzie postawił je kłown. Łobko-Łobkowski przywołuje gestami kłowna, jakby chciał powiedzieć, żeby się nie bał, że nic mu się nie stanie. Nareszcie kłown godzi się i staje pod jabłkiem. Błękitny promień reflektora wyławia z ciemności bladą twarz kłowna, który denerwuje się straszliwie, wyłamując palce... Strzał! Jabłko znika i zamiast niego na głowie kłowna siedzi siwy gołąb! Wszyscy oddychają z ulgą, a Wolfgang Dzu-Si przykrywa gołębia kapeluszem. Kiedy znowu zdejmuje kapelusz, wszyscy widzą, że leży tam czerwone jabłko z wielką zionącą dziurą. Kłown wesoło gryząc jabłko znika za pluszową portierą. S.O. Nabokow porusza z zachwytu wargami, jakby czytał ważny artykuł w gazecie, a w rzeczywistości odnotowuje dla siebie, że ten numer ma wielkie znaczenie wychowawcze, szczególnie dla młodzieży, ponieważ ukazuje, do jakich wyżyn może wznieść się człowiek w opanowaniu techniki bojowej.

Pominę już opis występu sióstr Mangoupe-Calais i grupy tygrysów bengalskich, bo nic szczególnie ciekawego w tych numerach nie było: okazało się, że tygrysy podczas blokady i głodu stały się jaroszami, a doktor Dziurka karmił je kapustą zamiast mięsa, natomiast siostry Mangoupe-Calais służyły na lotnisku w N-sku w oddziale zaopatrzenia bombowców. Tam nauczyły się żonglerki 150-kilogramowymi bombami i balansowania na skrzydłach, kiedy biegały po ciemku między samolo-

tami omijając niewidoczne kręcące się śmigła i dlatego obecny ich numer był dziecinną zabawką w porównaniu z tamtymi czasami. Im samym chciało się czasem śmiać, że w ten sposób zarabiają pieniądze.

Przejdźmy przeto do wielkiego tajemniczego maga, czarodzieja i eksperymentatora Alfreda Makaronowa. Oto w burzy oklasków wkracza na arenę — pochmurny, w złotych okularach, czarny nastroszony jeź, a w jego myślach kłębią się czarne koła, odbywa się jakaś skomplikowana reakcja chemiczna, jakieś ciemne polimery grupują się na biegunach jego posępnej duszy. Spogląda na nas pytająco wzruszając ramionami; bo zmęczyli go ludzie, ich banalne myśli zbrzydły już wielkiemu magowi i czarodziejowi, a nieograniczona władza nad tłumem napęła serce Makaronowa piekielną pychą, bo przecież on, w odróżnieniu od wszystkich władców świata, zna to, czego nie wiedzą i nie chcą wiedzieć dyktatorzy i tyrani. On wie, co myślą o nim ci oto ludzie. Umie rozszyfrować lodowate wichry wiejące w tym amfiteatrze. Dla niego nie istnieje milczenie tłumu, bo kipi on po brzegi niesłyszalnymi głosami, przekleństwami, krzykami, błaganiami niby jakaś krótka fala w ultramocnym odbiorniku. Alfred Makaronow (w czasach swojej burzliwej młodości nosił nazwisko Macaroni. Redagował wówczas piśmiennictwo okultystyczne „Sibilla“ na terenie Rumunii; na okładce pisma widniało zawsze czerwone odbicie dłoni wielkiego maga) stoi przygarbiony na szerokiej arenie i czeka, kiedy ogarnie go stan jasnowidzenia i przezierności. Wreszcie dokonuje się pewna krystalizacja w jego duszy, oczy zapalają się antracytowym błyskiem, jeszcze raz wzrusza ramionami, zdejmuje okulary w złotej oprawie, przeciera je chusteczką, nakłada i natchniony już robi krok do przodu:

— Seanss... ogólnej... wszechogarniającej... hipnozy... napropanss... marrabut...!!! — obwieszcza mistrz ceremonii i z jego hrabiowskiej twarzy osypuje się puder.

Makaronow wyciąga z kieszeni maleńką błyszczącą kulkę i unosi ją do góry.

— Wszyscy patrzą tutaj... tylko tutaj — rozkazuje.

W cyrku zapada martwa cisza — słychać jedynie, jak siecze śnieg po brezencie. Wszyscy wbili spojrzenie w ową kulkę, nawet sędziwy Diodor Czerwinka wpił się w nią anielskimi modrymi oczami, nie mówiąc o innych moich bohaterach, wdowach i sierotach, które zamaryły w bezruchu wpatrując się w kulkę Alfreda Makaronowa.

— Za chwilę zapomnicie o wszystkim — dobiega jakby z podziemia albo ze snu głos Makaronowa. — Odstąpią was wszystkie smutki i nieszczęścia. Zostawcie swoje troski za moim progiem i przychodźcie do mnie oczyszczeni z przeszłości, bo wasza przeszłość to przyciąganie ziemskie. Zaraz zrzucicie jej okowy i uleciecie wysoko w niebo!

Nie wszyscy zrozumieli słowa wielkiego maga i czarodzieja, ale wszyscy odczuli jakąś dziwną ulgę, jakby ktoś zrzucił z ich dusz olbrzymi ciężar, jakby naprawdę zrobili pierwszy krok do nieba.

A z kulką Makaronowa dzieją się jakieś niewiarygodne rzeczy. Powiększa się w oczach, nabiera niezziemskiego piękna i już nie sposób oderwać od niej wzroku, bo w tej niebieskiej sferze zjawily się jakieś postacie. Coś dzieje się tam dziwnego, niespotykanego, ale upragnionego, coś, czego łaknęły nasze dusze.

— Zapomnieliście państwo waszą przeszłość. Wykreśliлиście ją z pamięci i teraz wasza pamięć to czysta kartka papieru, na której ja napiszę swoje słowa — dobiega głos wielkiego maga i czarodzieja. — Nie ma waszej przeszłości, jest tylko przyszłość.

Kula zrobiła się tak duża jak balon, a artysta trzyma ją lekko w jednej ręce. A we wnętrzu kuli — o rety! Nasze miasto w błyskach szkła XXI czy XXII wieku, budynki wolno wiszące w powietrzu, płaskie i przejrzyste jak plankton w światowym oceanie, drzewa oranżowe

od pomarańcz. Pomarańczowe słońca oświetlają Jaropol i zniknęły stare mury i kamienice, a zamiast nich stoją dziwaczne pomniki, błyszczące wstęgi autostrad przecinają miasto, a na ziemi, wśród fontann i paproci przechadzają się szczęśliwi ludzie, dzieci pędzą na rowerach powietrznych za motylami, matki karmią niemowlęta ptasim mlekiem, czerwone ryby połyskują złotymi bokami, piją przezroczystą wodę, a na centralnej ulicy Jaropola wyrosły dmuchawce — wielkie jak palmy i w ich puszystych koronach zaplątały się promienie słoneczne, i od teraz żadna noc nie zagraża naszemu miastu... Szkoda, że nie widzieliście, co się działo w tym momencie w zimnym, zaśmieconym pestkami i niedopałkami amfiteatrze! Szkoda, że nie widzieliście szczęśliwych twarzy ludzi. Wielu płakało — nie umieli inaczej okazać radości; inni śpiewali dziecinne piosenki, a S.O. Nabokow zaczął podskakiwać i tańczyć niby chłopczyk na weselu, czym o mało co nie poderwał własnego autorytetu. Ale na szczęście w tak radosnej chwili nikt tego nie zauważył.

We wnętrzu kuli trzymanej przez wielkiego maga i czarodzieja pokazały się twarze mężczyzny i kobiety, a z nimi jeszcze dziewczynki. Malarz D.W. Smahlij zapewniał później, że była to dokładna kopia obrazu Leonarda da Vinci *Madonna Lita*, ale nikt mu nie uwierzył, bo wiadomo powszechnie, że na obrazie Leonarda nie ma żadnego mężczyzny. Zagrał jazz-dixieland, kobieta namalowała na obliczu mężczyzny znaki Słońca i Księżyc, a mężczyzna pocałował ją. Dziewczynka zaśmiała się i wypuściła z ręki kwiatek. Tutaj zdarzyło się coś takiego, czego nikt nie umiał przewidzieć.

— Mamo! Tato! — zawołał jakiś chłopiec, dziecko jeszcze, który siedział w trzecim rzędzie na prawo od Alfreda Makaronowa. Przepychając się przez widzów wbiegł na arenę — w żołnierskiej kufajce, buciorach, mizerny i ostrzyżony do skóry.

— Wróć na miejsce! — wrzasnął wielki mag paląc chłopczyka swoim antracytowym spojrzeniem, ale chłopiec nie zwrócił na to uwagi i wyciągnął ręce do niebieskiej sfery trzymanej wysoko przez Makaronowa...

— To moja mama i mój tata — krzyknął. — I siostra. Miała na imię Luba.

— Wróć! — z groźbą w głosie powtórzył Makaronow.

— Ale przecież to moi rodzice — upierał się chłopiec. — To oni, pamiętam ich dobrze.

Makaronow spojrzał w górę i kula znikła. W sali wszczął się straszliwy lament, na chłopca posypały się wyzwiska za to, że przerwał seans, że podniósł rękę na niebieską sferę radości, na niezemskie widzenie, za to, że do ludzi znów powróciła męka i wspomnienia. Jakaś rozhisteryzowana kobieta chciała nawet wybiec na arenę, aby zbić chłopca, ale wielki mag i czarodziej podniósł ostrzegawczo rękę i powstrzymał nieszczęsną.

— Popeliłeś przestępstwo — rzekł Alfred Makaronow wskazując ręką na salę. — Pozbawiłeś tych ludzi radości, na którą zasłużyli za wiele lat krwi. Czy to rozumiesz?

— Mój tato jest na północy, mama na południu, siostrzyczka na wschodzie, a ja powróciłem z zachodu, z Niemiec — wołał chłopiec. — Muszę ich odnaleźć, bo nie mam nikogo prócz nich. Powiedz mi, gdzie są? Co się z nimi stało?

— Jesteś złym i upartym chłopcem — zimno odpowiedział Makaronow. — A tak, tak. Widzę cię na wskroś, czytam twe myśli. Czy nie rozumiesz, że ten obraz to tylko symbol szczęśliwego życia, że ma on znaczenie ogólnoludzkie, bo dotyczy wszystkich ludzi na sali, nie tylko ciebie? To miraż, który jak każdy utwór artystyczny przemawia do każdego siedzącego tutaj. Powiedzcie państwo, mam słuszość czy nie? — zwrócił się Makaronow z pytaniem do sali.

Widzowie odpowiedzieli aprobuszując chórem głosów.

— Czy ty myślisz, że ciebie jednego dotknęło nieszczęście? — kontynuował mag. — Jak można z takim egoistycznym uporem stawiać wyżej swoje osobiste nieszczęście nad uczucia całego narodu?

— Próbowałem zapomnieć o wszystkim, jak pan kazał — tłumaczył się chłopiec — ale kiedy zobaczyłem mamę...

Na arenę wyszedł kłown Wolfgang Dzu-Si, oparł się o barierę i uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

— Przecież to nie jest twoja matka — ciągnął z rozdrażnieniem Makaronow. — To matka jego, jego, jej i tamtego chłopca, co siedzi w dwunastym rzędzie. — Makaronow biegał po arenie pokazując palcem różnych ludzi.

— To moja mama, pamiętam każdy rys jej twarzy — upierał się chłopiec. — To jedno było dobre pośród obrazów. Wszystkie inne były nudne i nieciekawe...

— Dlaczego nieciekawe? — z obrazą w głosie zapytał mag.

— Dlatego, że nie interesuje mnie, w jakich domach będą mieszkali ludzie za ileś tam lat. Nie interesuje mnie, jakie będą kiedyś auta. Interesuje mnie jedno: czy ludzie nie będą się bać siebie? Czy będą sobie ufać wzajemnie?

— Zanim postawisz takie pytanie — odpowiedział wyniośle Makaronow — musisz zajrzeć w samego siebie. Czy ty sam ufasz ludziom i wierzysz im? Jeżeli ta wiara zamarała w tobie, to z czym pójdiesz w przyszłość?

Alfred Makaronow spojrział ponuro na chłopca, wzruszył ramionami i uśmiechnął się sarkastycznie:

— Dostrzegam w tobie jakąś Niemkę... widzę nawet, że cię kocha... Jak śmiesz nosić w sobie ową niegodną miłość w obliczu tych ludzi — Makaronow objął szerokim gestem całą widownię — wśród których nie ma ni-

kogo, kogo nie skrzywdziliby Niemcy? Ty ją też kochasz... czy to nie bluźnierstwo?

Wśród widowni znowu rozległy się wrzaski, gwizdy i tupot. Kłown wyjął z zanadza czerwony kwiat i zaczął go przytulać do serca, ale z przerażeniem spostrzegł, że trzyma w ręku zakrwawioną szmatę i z obrzydzeniem cisnął ją na arenę.

— Ona kochała mnie jak syna — powiedział chłopiec. — Obaj jej synowie zginęli na froncie wschodnim. To ona wyciągnęła mnie z Hamburga, z warsztatów kolejowych. Gdyby nie ona, zginąłbym tam, bo co noc przylatywało półtora tysiąca amerykańskich samolotów. Jeżeli pan jest wielkim magiem i czarodziejem, to niech pan pokaże im, widzom, co znaczy półtora tysiąca latających fortet. Frau Gertruda zawiozła mnie na wieś. Chciała, abym został z nią na zawsze... ale...

— Zdradziłeś ją? Zdradziłeś! — zaśmiał się Alfred Makaronow, a kłown wyjął z zanadza skrzypce i zaczął grać *Elegię Masseneta*.

— To nieprawda! — zaprotestował głośno chłopiec i łzy trysnęły mu z oczu. — Nieprawda! Ktoś doniósł, że stary Vogel robi nielegalnie kiełbasy w piwnicy, przyszła policja i zabrali go... A on pewnie myślał, że to ja doniosłem, ale to nie ja! Jeżeli pan jest wielkim magiem i czarodziejem, to powinien pan wiedzieć.

— Przypuśćmy, że wiem — rzekł Makaronow — ale mimo wszystko zdradziłeś ją, swoją frau Gertrudę. A ona ci ufała...

— Tak — zgodził się chłopiec — wierzyła mi, a ja...

— A ty ukradłeś tę gumę i uciekłeś od niej — powiedział Alfred Makaronow — chociaż do końca wojny pozostało kilka miesięcy i mogłeś spokojnie przesiedzieć je na tej wsi. Na co ci była potrzebna ta guma?

— Mój tata jest szewcem... No więc pomyślałem sobie, że guma przyda mu się... niemiecka, mocna, na zełówki... Ale złapali mnie żandarmi, bili mnie gumowymi

pałami i wciąż wypytywali, na co mi ta guma... A mnie wstyd było się przyznać... Później przyjechali Murzyni na czołgach, dali mi czekolady...

Wolfgang Dzu-Si zdjął z nóg niezgrabne buty, położył je na arenie i wszyscy spostrzegli, że buty poszły same wolno po dywanie — ale ich droga była kręta i niezrozumiała i nie wiadomo było, dokąd idą te buty kłowna.

Ciemne bieguny duszy wielkiego maga i czarodzieja szepnęły mu chyba, że żywot jego dobiega końca, skoro tacy chłopcy wrywają się spod jego władzy, w ustach zrobiło mu się gorzko, jakby przeżuwał żelazo, a w uszach zabrzmiał wyraźnie śmiech tego wycieńzonego chłopca w poszarpanej kufajce, którego tłukli pałami żandarmi; Alfred Makaronow dokonał ostatniej próby ratowania swego życia, pragnąc znów osiągnąć ten stan krystalizacji, któremu dotychczas podporządkowywali się ludzie w cyrkach całego świata, stając się hipnotycznymi zabawkami w rękach mistrza. Jak tonący chwytający się słomki Makaronow zajrzał chłopcu w oczy i zobaczył to, czego nie zrozumiał ani ten chłopiec, ani nikt z nas, i powiedział:

— Znam twoją przyszłość... Zostaniesz wielkim człowiekiem, sławnym na cały świat, ale zdradzisz swojego nauczyciela, który ci będzie wierzył. Zawiedziesz tego człowieka, jego bezgraniczne zaufanie, a on ci tego nie wybaczy.

— Pan się myli — odrzekł chłopiec. — Nie chcę być wielkim człowiekiem. Niepotrzebna mi pańska sława. I więcej nigdy nikogo nie zdradzę w życiu.

— Kim zatem chcesz być? — zapytał Makaronow czując, że opuszczają go siły, siły i nadzieja.

— Chcę stać na moście, na czwartym kilometrze i budzić tych, którzy jadą na dachach wagonów, aby przynajmniej głowy — odpowiedział chłopiec i wyszedł z maneuwu.

Kłown Wolfgang Dżu-Si pierwszy zrozumiał, że nadchodzi koniec władzy wielkiego maga i czarodzieja i że czas mu już na emeryturę. A jego miejsce zajmie sztukmistrz Basileus — przewodniczący rady miejscowej. A że sztukmistrz Basileus był najlepszym przyjacielem kłowna, Wolfgang Dżu-Si odczuł wielką radość i usiadłszy na barierze nacisnął dźwignię specjalnego mechanizmu i z jego oczu polały się łzy — na początku były to nieduże strumyki, a potem, pod ciśnieniem, całe potoki. Alfred Makaronow odczytał nikczemne myśli kłowna, ale wielkiemu magowi i czarodziejowi zrobiło się tak wszystko jedno, że zszedł z areny, czym wywołał ogromne zdumienie jaropolskiej publiczności, oczekującej z jego strony jakichś większych atrakcji.

Ten numer nie spodobał się S.O. Nabokowowi; nie dostrzegł w nim żadnej treści wychowawczej. Na odwrót, zapytał nawet sąsiada, czy nie wie przypadkiem, kim jest ten bezczelny chłopak, który spaskudził taki ciekawy numer — czy nie zna jego nazwiska, a może i adresu. Sąsiad wyjaśnił, że jest to Jarosław Hamalija, całkowity sierota. — cała jego rodzina zaginęła, a sam mieszka koło Smoły na polskim folwarku.

Następnego dnia spektakl został odwołany w związku z chorobą wielkiego Makaronowa, a trzeciego dnia — cyrk zwinął manatki i wyjechał dokądś z naszego sławnego grodu Jaropola, i ślad po nim zaginęł...

Rozdział drugi,

w którym będzie mowa o dziwnych przygodach A.W. Mykytasia — prezydenta Jaropolskiej Republiki, który z racji tej funkcji zaznał wiele radości i smutku, o czym przekonamy się, kiedy wspomnimy chociażby historię płonącego rumaka privatdozenta Możara.

Kiedyś pewnemu bardzo czcigodnemu obywatelowi naszego miasta, emerytowi, niegdysiejszemu kierownikowi wydziału kultury Jaropolskiej Miejskiej Rady Narodowej Andrijowi Wasylowiczowi Mykytasiowi (bratu owego niewidomego S.W. Mykytasia, ożenionego z siostrą mojej matki chrzestnej Barbary) przydarzyła się historia, którą chcę dzisiaj opowiedzieć. Pewnego wieczoru, w porze, kiedy jesień zaczyna otrząsać jabłka z drzew i tłumem zjeżdżają z wakacji studenci, opaleni, chętni do miłosnych igraszek, A. W. Myktaś poczuł powiew jakiegoś dziwnego wietrzyka. Zaskakujące, bo okna były zamknięte — nie ma już przecież takiego upału, a jednak przywidział się naszemu Andrijowi Wasylowiczowi jakiś trwożliwy dotyk czy szept, jakby ktoś zapomniany stał za jego plecami i nie mógł oderwać od niego spojrzenia. Myktaś podszedł nawet do lustra i z ogromnym kunsztem zaczął stroić wesołe miny układając mięśnie twarzy w harmonijkę (to przyzwyczajenie wyniósł ze środowiska artystów, kiedy kierował kulturą), a w tym czasie pilnie wpatrywał się w głębię swojego odbicia — może rzeczywiście jakiś diabeł wślizgnął się do jego mieszkania?

Ale wszystko było w jak najlepszym porządku. Dywany promieniowały czerwonym wełnianym ciepłem, parkiet lśnił barwą żółtka, a kredens w swojej kryształowej wzniosłości był podobny do carskiego żyrandola z Ermitażu. Ale nie nadszedł upragniony spokój i błogość nie

odnowiła się w jego duszy: znów nadleciało echo jakichś dalekich przyptywów i odpływów; wietrzyk, nie ciepły, ale i nie zimny, tylko jakiś słodko nękający, nieoczekiwany. I wtedy oto nasz bohater dokonał ostatniej próby, aby uwolnić się od dokuczliwej manii — zaczął ugniatać swoją twarz palcami jak ciasto, bo widział kiedyś, jak robią tak nawet zasłużeni artyści przed wyjściem na scenę dla uspokojenia, czy może dla rozgrzewki. Ale i to nie pomogło. Wówczas Andrij Wasylowicz w dużym pośpiechu, by zdążyć przed powrotem żony, wyciągnął z ogromnego fińskiego kuchennego kredensu karafkę z wódką, nalał szybciotko kieliszek, wypił i zakąsił szprotami z otwartej puszkę stojącej w lodówce. Tylko lodówka wywołała chwilową cichą radość w jego duszy — cichuteńko jak w bajce otwarły się jej śnieżne drzwiczki i w środku automatycznie zapaliło się posłuszne światelko. Myktaś kilkakrotnie otwierał i zamykał te drzwiczki i za każdym razem ogarniała go fala rozczulenia, gdy sterylne wnętrze aparatu rozjaśniało się łagodnym i kojącym światłem. No cóż, dobre i to.

Nie wiadomo czemu wspominał rower o trzech kołach, który widział w 1903 roku, kiedy przyjechał z ojcem do miasta, aby kupić buty — przednie koło olbrzymie, na wysokość człowieka, takie jak koło parowozu, z błyszczącymi szprychami, i dwa maleńkie kółka z tyłu, jak rolki przy wrotkach. Na tym welocypedzie jechała pani w długiej sukni, w kapeluszu przypominającym pole kapuściane. A.W. Myktaś poczłapał do pokoju gościnnego i włączył telewizor: na wielkim ekranie (20 cali) zjawiała się dziewczyna w długiej sukni jadąca na welocypedzie o trzech kółkach, tylko bez „kapuścianego” kapelusika. Włosy jej trzepotały na wietrze, a za nią biegł jakiś wąsaty pan w słomkowym kapeluszu załamując błagalnie dłonie. Tego już było zanadto, bo był to Griszyn-Griszczenko z kontrwywiadu i Andrija Wasylowicza zaczęły boleć paznokcie wyrwane niegdyś w podziemiach pałacu

Potiomkina. Zerwał się na chwilę z miękkiego fotela, po czym znów znieruchomiał w ciemnym pokoju opromienionym jedynie szarym nieziemskim światłem telewizora. W nowoczesnym czerwonym fotelu z niemieckiego kompletu siedział, jak gdyby nic, on, A.W. Mykytaś, we własnej osobie. Ale wybaczcie, moi mili, przecież on, A.W. Mykytaś, stał o dwa metry od tego fotela, na którym siedział nadal. Jakaś diabelska siła. Ten Mykytaś, który stał, obmacał siebie — wszystko niby w porządku, wszystko na swoim miejscu, tylko ma na sobie jakieś dziwaczne ubranie: szeroki frencz z nieznanym zapachem jak po dezynfekcji, koalicyjkę na krzyż, nagan i szablę u pasa. Jego sobowtór w fotelu miał na sobie całkiem inne okrycie: piżamę w kwiaty (wiecie państwo, taki umowny ornament roślinny), kupioną w Budapeszcie, a na niej ciemnozielony bucharski szlafrok, подарowany Andrijowi Wasylowiczowi przez przyjaciół w dzień odejścia na emeryturę.

Che-che-che, jak powiada w takich wypadkach malarz D.W. Smahlij, członek jaropolskiego oddziału związku plastyków.

No bo faktycznie, istnienie tego samego człowieka w różnych wymiarach, lecz z zachowaniem konfiguracji przestrzennej, by tak rzec, różnych elementów ciała — to, zgodzicie się państwo, nie jest już zwyczajny przypadek. Andrij Wasylowicz wyszedł z jednej powłoki, trzeba przyznać, że wygodnej, i trafił do drugiej. Mykytaś pomyślał sobie nie bez humoru, że jest jak owa drewniana matryoszka, z której można wyjąć kilka pomalowanych laleczek o różowych twarzach. Ale ten A.W. Mykytaś, który siedział w fotelu, nie był, o dziwo, pusty w środku, jakby mogło się to komuś wydawać. Jego ubranie trzymało się nie na metafizycznej próżni, lecz na całkiem konkretnych starczych kształtach. Krótko mówiąc było się nad czym zastanowić, ale zabrakło na to czasu, zwłaszcza że do drzwi zapukał Waśka Som, wypukłooki ordynans A.W. Mykytasia z ogromnymi polipami w nosie. Som

chlubił się nimi, ale nie mógł oddychać, wskutek czego chodził zawsze z rozdziawioną gębą, co nadawało mu wygląd marzycielsko-gapiowaty.

Nasz bohater, a właściwie druga jego podobizna, która porzuciła miękki fotel, wybiegł na ulicę. Nad miastem leniwie zapalała się luna: nie wiadomo, czy to płonął Riaby Chutor, z którego wykurzono powstańców, czy też czerwony księżyc — zwiastun nieszczęść i wielkiego moru — wznosił się nad naszymi stepami i lasami... Zarżał jego koń Węgielek dojrawszy pana. Mój Boże, ileż to lat się nie widzieli... Andrij Wasylowicz pogłaskał konia po ciepłym boku — zauważył, że koń jest zadbane, utrzymany dobrze, aż błyszczy. Wskoczył na Węgielka, a ten — czarny i delikatny — aż zatańczył z radości i Mykytaś zrozumiał, że dzisiaj będzie wielka bitwa i jeśli ją przegra, to znów znajdzie się w kontrwywiadzie i znowu Griszyn-Griszczenko będzie mu wydierał pazurek specjalnymi obcęgi. Jeszcze nie wiadomo, czy wyzwolą go tym razem z podziemi pałacu Potiomkina. Koń i jeździec przemknęli po ciemnych ulicach (gdzieś podziały się jarzeniówki, kioski, tablice z plakatami i inne elementy agitacji wizualnej, na którą tyle pieniędzy rokrocznie przeznaczala miejska rada narodowa), jedynie w domu Izaaka Malamuda, właściciela wielkiego sklepu konfekcyjnego, migotało światło. A.W. Mykytaś usłyszał znajomy głos dzwonów cerkwi św. Mykoły (teraz mieści się tam szerokoekranowe kino „Gwiazda”). Kopyta stukwały po bruku jak szrapnele. Jeźdźcy przecięli na ukos bazar, Zaułek Policyjny i wyskoczyli na plac.

Tam kłębił się już tłum, w dwóch, trzech miejscach płonęły ogniska — gotowano kaszę w zakopconych saganach, rżały konie, wozy chłopskie z karabinami maszynowymi kisły w błocie, przysypanym świeżą słomą. Malachitowymi głosami śpiewały dzwony cerkwi wznoszącej dumnie nad Bohunką swoje białe mury i złote kopuły,

które teraz były jakby pokryte czerwonymi miedzianymi liśćmi. Siwe poranne powietrze pachniało śmiercią i końskim nawozem.

A.W. Myktaś podszedł do wielkiej fury, która kiedyś należała do jakiegoś bałagudy, a teraz służyła jako trybuna. Właśnie wdrapał się na nią Matwój Tur, ukłonił się gromadzie, przeżegnał i rzekł w te słowa:

— Ludzie prawosławni, rodacy! Wybaczcie, jak powiem coś nie jak trzeba, ale widzi mi się, że na naszą komunę przyszła kryśka. Przylecieli biali jenerałowie, a mają eroplany i harmaty, no to jakże będziemy się z nimi bić, boć nie tymi oto pukawkami — machnął ręką w stronę kulomiotów. — Może w swojej chłopskiej głupocie powiem coś nie wedle tego, co należy, coś z przodu, albo z tyłu słusznej linii, co mi już wybaczcie. Ale pewnikiem Denikin zdusi naszą komunę jak ten placek, co go dzieci lepią z błota na drodze. No to, ziomkowie kochani, uchronimy krew naszą i dzieci niewinnych naszych. Niech już lepiej przyjdzie Denikin niż, ma się rozumieć, zginie nasz naród. Ma on ci ludzi, ma się rozumieć, kształconych — nauczycieli, studentów, gimnazystów, a oni dadzą Rosji porządek, a nam nic więcej nie trza... Kończcie, obywatela, tę zabawę w komunistów, nabawiliście się, i starczy.

Dorodny to był chłop, czarnowąsy, na froncie ryskim wojował w randze kaprała, a teraz ubrał się w niebieską czamarę, w błyszczące, jak lubił, buty z cholewami.

Mizerny tłum w szarych żołnierskich płaszczach rozkłębił się i zahuczał. Znad drzew przyleciał jazgot kano-nady płosząc konie, bo mało tu było prawdziwych kawaleryjskich, a przeważnie potulne chłopskie szkapiny.

Wlazał na furę Palij Juchym — młody Kozak z kurenia śmierci, czyli ochotniczego pułku konnego imienia Bohdana Chmielnickiego. Pozostał był w Jaropolu po odniesieniu ran, a teraz, patrzcie, wyzdrowiał.

Uklonił się pięknie na wsze strony i rzekł:



— Bracia-Ukraińcy! Otoczyli nas wściekli wrogowie nasi — Moskale, dranie w złotych pagonach, oficerskie ścierwa. Chcą ukraińskie łany zalać naszą krwią i niebo zaćmić dymem naszych spalonych domów. Nie mamy co robić tu, w tym mieście, bo to jest obce dla nas miasto, a prawdziwa Ukraina zaczyna się tam — pokazał ręką tam, gdzie za Bohunką, grożąc tyfusem, ścieliła się na bagnach siwa mgła, i wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. — Rzućmy w diabły to obrzydliwe miasto i ruszmy w step, przedrzyjmy się ogniem przez pierścień wrogów, unieśmy w górę nasze zwycięskie sztandary i połączmy się z braćmi, którzy wyrąbują dla nas ukraińską państwowość.

Jeszcze raz warknęły sześciocalówki z tamtej strony Bohunki, a tłum ogarnęły czarne myśli. Mój tata też stał w tym tłumie wśród powstańców, a z nim stryj Wasyl, który zmarł na zapalenie opon mózgowych w 1933 roku. Mieszkali wtedy na przedmieściu, koło polskiego folwarku, tam, gdzie obecnie mieszczą się zakłady remontowe. Stryj Wasyl włożył na głowę hełm stalowy z dziwnym rondem — był sam wśród powstańców w hełmie francuskim przywiezionym z frontu. Do niedawna żona stryjka Wasyla trzymała w tym hełmie fasolę.

A tu na furę wskoczył znany już nam A.W. Myktaś. Nawykłą ręką sięgnął do lewej kieszeni — po tekst przemówienia, pisany na maszynie, gdzie każda cyferka została uzgodniona i sprawdzona, po przemówienie, które zawsze zaczynało się jednakowo: „Drodzy towarzysze! Nasza narada odbywa się w okresie, który...” — ale w porę się pohamował.

Nie ogoleni, źli powstańcy patrzyli na niego zgłodniałymi oczami.

Wówczas Andrij Wasylowicz zdjął koalicijkę, rozpiął pas, zrzucił szablę i nagan — powstańcom aż dech zaparło z ciekawości — potem wolniutko odpiął guziki frencza, cisnął go na zabrudzoną furę, wyciągnął ze spodni koszulę, podciągnął ją pod pachy i odwrócił się

do ludzi plecami. Straszne, przerażające miał plecy A.W. Myktaś w 1919 roku. Jakby ktoś przeorał je pługiem i wyorał krwawe bruzdy. Wszyscy milczeli, tylko z drugiej strony placu dobiegał płacz małego, płochliwego rudego żrebaczka, któremu zginęła mama.

— Oto macie waszą państwowość ukraińską! — krzyknął Myktaś odwracając się twarzą do ludzi. — Oto macie waszą neńkę-Ukrainę, oto wasi hetmani i hajdamacy. A czyś ty czasem, chłopcze, na służbie państwowej brzucha nie utuczył? Bo mam z nią na pieńku. Nie? No to naucz się najpierw smarki ucierać, a potem państwowość ukraińską budować. A ty, Matwieju, ile masz ziemi, co?

— Siedem dziesięcin — odburknął Tur.

— A przed siedemnastym rokiem ile miałeś?

— Półtrzecia.

Myktaś zeskoczył na ziemię, wziął lejce — odsunął hołoble, podszedł do czarnowąsego kaprała i wepchnął mu lejce w ręce mówiąc głośno, aby wszyscy usłyszeli:

— Idź i powieś się o, na tamtym drzewie, sukinsynu, póki nie za późno. Bo jak przyjdzie Denikin, to najpierw obedrze cię ze skóry, a dopiero potem powiesi.

I znów stoi na furze nasz A.W. Myktaś i mówi dalej:

— Nie ruszymy się nigdzie z tego miasta, bo to jest nasze miasto, miasto naszych ojców i pradziadów, to jest Ukraina! I nigdy nie złożymy broni, bo jest to zdrada i świństwo... Ludzie! Nie wierzcie nigdy zwycięzcom! Już z naszych drzew napiłowali tyle desek, ile im było trzeba. Wierzcie tylko we własne zwycięstwo. W denikinowskim morzu jak wyspa rewolucji proletariackiej wzniesiemy czerwone sztandary! Kto dał nam ziemię? Skoropadski? Nie! Dyrektoriat? Nie! Denikin? Nie! Ziemię dała nam władza radziecka. Tu jest nasza ziemia, nasze dzieci, mogiły naszych ojców. I tu będziemy bronić rewolucji światowej. W imieniu komitetu rewolucyjnego ogłaszam Jaropolską Republikę Powstańczą. Ziemia w niej należy

na wieki do was, rolnicy. Fabryki — tutaj złapał się na tym, że prawdziwych fabryk w Jaropolu nie ma na razie, chyba że brać pod uwagę parafialny warsztat wyrobu świec i olejarnię — fabryki będą należały do was, robotnicy. Zapaliliśmy mały płomyk, ale rozprzestrzeni się on na cały świat. Komuna zapłonie elektrycznością, na nasze wolne łany wyjdą energomaszyny, a sterowce zakwitną na niebie jak róże!

Powstańcy spojrzeli w niebo, przez które przelazł zblakły dzień, w niebo podziobane poszarpanymi chmurami jak po egzekucji. Wilgotną ziemię zaścilały opadłe liście i czerwony koński nawóz — to weterynarz Sołomacha karmił konie burakami i dlatego nawóz był czerwony jak krew. A wiatru nie było.

— Niech żyje Jaropolska Republika Powstańcza! — krzyknął z fury Myktaś.

— Sława! — odkrzyknął tłum.

— Niech żyje światowa rewolucja proletariacka! — Myktaś.

— Sława!

Tłum szczeka bronią, krzyczy ochryple wydychając z siebie smród machorkowy, porusza się ociężale, miesi zabłoconymi buciorami na placu.

Sława, sława... Ale generał Chłyszczow podciąga do miasta osiemnastą Dońską Dywizję Kozacką wspieraną przez pułk studencki i zajmuje lewobrzeżną część Jaropola razem z pałacem Potiomkina. Angielski nitowany czołg „Archaniół Gabriel”, tak duży, że wedle dzisiejszej miary można w nim zmieścić żłobek dla dzieci, pełnie przewalając się z boku na bok w stronę mostu, ale ten most nad Bohunką jest dla niego za wąski: wisi ten stary most wysoko, dwadzieścia metrów nad urwiskiem, wykładany jest zbutwiałymi kłodami, a z prawej strony rzeki strzegą wejścia do Jaropola mury zamku Potockiego i kulomioty powstańców. Wojskowa orkiestra Armii Ochotniczej ulokowana na polskim folwarku uczy się grać

marsza 1-go Keksholmskiego Cesarskiego Pułku Lejb-
gardii — hej, sokoły, szare szeregi junkrów, czubaci
kozacy-zuchy, wlećcie czarnymi orłami! A wy, wyrafino-
wani potomkowie arystokratycznych rodów i lojalni czy-
ściutcy gimnazjaliści, dzwońcie ostrogami i całujcie rącz-
ki pańienek z przedmieścia, albo chlejcie aż do wymio-
tów, albo sprzeczczejcie się o los jedynej i niepodzielnej
waszej drogiej matuszki-Rosji, albo czytajcie wiersze
Tiutczewa i Błoka, dopóki nie późno, bo już wkrótce te
chamy i chochły, które stanęły naprzeciw was, zatkną-
wszy czerwony sztandar na starej wieży obronnej, zrzucą
wielu z was do wody Bohunki na zapleśniałe, mokre ka-
mienię, w zgniliznę, w nieznanę, w błoto i brud, gdzie
skonacie brocząc krwią. Nie zdołają was wyciągnąć wa-
si bracia-sanitariusze spod zabójczego ognia powstań-
czych karabinów maszynowych.

A co się dzieje, co się dzieje w sławnym mieście Ja-
ropolu, popatrzcie tylko! Ojciec Eulogiusz, proboszcz
cerkwi św. Mykoły, błogosławi powstańców i odprawia
mszę prosząc Boga, aby dał zwycięstwo czerwonym woj-
skom nad nieczystymi (jedyną córkę ojca Eulogiusza
uwiódł i porwał syfilityczny denikinowski oficer, za co
proboszcz pała ogromną nienawiścią do białej gardii).
Ojciec Nikon z katedry wdrapał się natomiast na dzwon-
nicę, aby zobaczyć na własne oczy, czy nie zbliża się na
białym koniu siwy generał ze złotymi pagonami na ra-
mionach. Już nawet ornat świąteczny, lśniący jak perła
w oceanie, wyciągnął ze skrzyni pachnącej naftaliną oj-
ciec Nikon; małe draństwo spotkało na górze ojca Ni-
kona, kiedy wdrapywał się w radosny horyzont wyzwo-
lenia, gdzie dymyły kuchnie prawosławnego wojska ro-
syjskiego: ślepa kula trafiła starca w skroń, skąd wylało
się z pół szklanki krwi i jego broda zrobiła się czerwona,
jakby ją ktoś ponad miarę ufarbował henną. Nikt nie
wiedział, gdzie podział się ojciec Nikon, i kilka dni go-
łębnie chodziły po obliczu pobożnego starca pokrywając

je białym pomiotem. A w domach kupieckich już przygotowują surduty, chleb i sól, rozczesują brody, a członkowie jaropolskiej organizacji komunistycznej ustalają hasła i punkty kontaktowe.

Na posiedzeniu rewkomu Andrij Wasylowicz Myktaś podpisuje taki oto dokument:

Rozkaz nr 1

Jaropol

Biali bandyci otoczyli miasto. Ale my niewzruszenie wznosimy do góry radziecki sztandar Jaropolskiej Republiki. Armia Czerwona idzie na pomoc. Wszystkie ataki Denikina rozbijają się o żelazne mury rewolucyjnego Jaropola. Bez paniki, obywatele! Prowokatorzy i sabotażyści będą rozstrzelani.

Na mocy władzy powierzonej mi przez masy rewolucyjne, rozkazuję:

1. Dziś jeszcze ogłosić powszechną mobilizację wszystkich obywateli zdolnych do noszenia broni, urodzonych w latach 1874—1901, w celu uzupełnienia wojska rewolucyjnego;

2. Dla potrzeb wojska Jaropolskiej Republiki rekwirować wszystkie konie na jej terytorium;

3. Na terytorium Republiki wprowadzić w obieg pieniądze, wypuszczone przez jaropolski rewkom zamiast biletów bankowych, które zostały po samodzielnym i innych władzach reakcyjnych;

4. Wprowadzić system kartkowy na żywność ze względu na stan wojenny.

Niewykonanie powyższego rozkazu będzie karane śmiercią przez rozstrzelanie.

Przewodniczący Komitetu Rewolucyjnego
Republiki Jaropolskiej

A. W. Myktaś

Tak to kiedyś bywało na Ukrainie... Dzień jazgocze nad Jaropolem, straszny jak taczanka, z której strzelec Kindrat Smoła — chłopiec, co pluje na śmierć, na pieniądze, na wszelkie dobro — wpędza do grobu byłych studentów Uniwersytetu Petersburskiego... Jaropol stoi w słonecznym i czerwonym odzieniu; empire szlacheckich zebrań został zasmucony żalobą czarnych wybitych okien i wiatr wygwizduje w marmurowej sali coś melancholijnego, jakby grał w oddali walca *Na sopkach Mandżurii*. Skończyły się pani bale, panno Mario Wróblewska, i młody porucznik, który nosił w szkaplerzyku pukiel pani wielmożnych złotych włosów, umiera na cholereę w baraku epidemicznym na stacji Chrystyniwka; z jego ciała wypływa ciecz podobna do wywaru z ryżu, a razem z nią wycieka życie. A teraz pani, Mario Wróblewska (gdzie podział się ten warszawski gorset podtrzymujący pani dziewczęce piersi — była w nim pani podobna do klepsydry i tak pani wzruszyła młodego porucznika), teraz pani, panno Wróblewska, stoi przed groźnym prezydentem Jaropolskiej Republiki, przed A. W. Myktyasiem, który prosi, aby pani urządziła koncert fortepianowy dla powstańców. Czy to nie obłąd? Czy istnieje jakiś związek logiczny między akordami preludium *d-moll* Szopena, opus 24, ideą polskiej wolności, polskiej równości, polskiego braterstwa, między elegancją i genialną harmonią *allegro appassionato* a tymi chłopami zalatującymi smrodem nie czyszczonych szyneli, nie mytych ciał, samogonu, machorki i chleba. O, panno Mario, moja kochana panno Mario, pani nawet sobie nie wyobraża, jak przemienia się pani los.

Następnie Waśka Som melduje, że w mieście znalazł się sabotażysta, niejaki pan Możar, który za nic nie chce oddać swojego konia — białego piękniś-rumaka — na potrzeby rewolucji światowej i sławnego wojska jaropolskiego. „Doprowadzić” — rozkazuje A. W. Myktytaś. Przyprawiono do niego niemłodego i niestarego

mężczyznę, ubranego schludnie, z *pince-nez* i krawatem, o uprzejmym zachowaniu i poważnych oczach. Kontra — konstatuje od razu A. W. Myktaś z pewnością lekarza pediatry widzącego z daleka na twarzach swoich pacjentów ospę czy szkarlatynę. Ale nie zdążył jeszcze wartownik zameldować prezydentowi republiki personaliów zatrzymanego, jak wszczął się straszliwy harmider w poczekalni, do A. W. Myktyasia wdarła się zapłakana młódka i buchnęła do nóg naszemu bohaterowi, który straszliwie się tym speszył.

— Panie atamanie — woła młódka (a twarz ma tryskającą zdrowiem) — ratuj mnie, durną babę, bom życie zmarnowała!

— O co chodzi? — pyta A. W. Myktaś podnosząc ciężką dziewczę z podłogi.

— A, mąż mój, żeby go szlag trafił, odszedł ode mnie, panie atamanie i nie chce żyć ze mną.

— A dokąd to poszedł?

— Do Hanny, sąsiadki — ryczy młódka smarkając w chustkę.

— Cóż ja tu mogę poradzić?

— A któż poradzi jak nie pan? Pan, panie atamanie, jest władzą... — rozpacza jak nad umarłym petentka. — Ten łajdak spiknął się z Hanką, a ja jestem jeszcze przecież młoda, ładna i co, mam teraz całe życie spędzić sama jedna...

— No nie płacz już, nie płacz — powiada uśmiechając się A. W. Myktaś i wszyscy obecni w pokoju zaczęli uśmiechać się oprócz Możara, którego oczy pozostawały poważne nadal.

— Popatrz, ilu chłopców — mruga do niej Andrij Wasylowicz. — Wszyscy jak ogień. A tyś niczego sobie kobieta. To znajdź sobie kogoś i żyj.

Młódka aż się zatrzęsała.

— A czy tak można? — pyta.

— Zezwalam ci na to — śmieje się prezydent.

— To może byćście mi, panie atamanie, napisali papier, bo krewni i sąsiedzi nie uwierzą.

— Damy ci papier — powiada A. W. Myktaś i dyktuje maszynistce:

Zaświadczenie

Zaświadcza się niniejszym, że Mehelyk Motrona Iwanowna jako wolna obywatelka Republiki Jaropolskiej oraz ze względu na to, że nienawistne prawa reżimu carskiego zostały skasowane tak samo jak i niewola małżeńska, ma pełne prawo do uregulowania swoich spraw osobistych zgodnie z miłością, czyli wyborem serca, co własnoręcznym podpisem i pieczęcią stwierdzam

Przewodniczący Komitetu
Rewolucyjnego Republiki Jaropolskiej

— Znakomicie, obywatele, pośmialiśmy się i starczy. Przejdźmy do spraw poważniejszych. Co mam z panem zrobić, panie Możar? Dlaczego nie chce pan uzupełnić naszych rezerw końskich swym białym koniem? Czy nie wie pan, że nasze konie pozabijano i unieruchomiona została taczanka sławnego strzelca Kindrata Smoły? Czy pan rozumie, że ten pański koń, ten biały rumak może zadecydować o losie rewolucji światowej, bo dopóki istnieje nasza republika, dopóty Denikin nie śmie rzucić na Moskwę wszystkich swoich wojsk, bo Jaropol to nóż przystawiony do generalskich pleców. Czy nie przekonuje pana, panie Możar, ten żelazny łańcuch przyczyn i skutków? Czy może chce pan, aby zwyciężył Denikin? Aby wyrwał nam paznokcie w podziemiach pałacu Potiomkina niejaki Griszyn-Griszczenko, a potem aby nas, komunistów, powiesili na placu? Może tego się panu zachciało, panie Możar? Niech pan odpowiada,

bo rewolucja nie czeka, jej szale chybcą się; na jaką szalę stawia pan swojego konia?

Błyskając szklami privatdozenckiego *pince-nez*, pan Możar wyjaśnia, że jest człowiekiem całkowicie cywilnym i dalekim od polityki i w tym smutnym dla narodu okresie stara się trzymać jak najdalej od jakichś konkretnych form działalności społecznej, tym bardziej że jego zawód, na szczęście, nie wymaga tego, jako że jest biologiem-eksperymentatorem, czyli człowiekiem studiującym najbardziej ogólne, najbardziej wieczne prawa istnienia żywej materii, a zwłaszcza najpiękniejszą, najbardziej poetycką tajemnicę bytu — tajemnicę dziedziczenia. Gwałt wszelaki uważa privatdozent Możar za zbrodnię wobec zasadniczych postulatów humanizmu ogólnoludzkiego, według których został wychowany, i dlatego z całego serca współczuje panu prezydentowi z powodu przyszłych męczarni, których ma doznać od pana Griszyna-Griszczenki. Co się zaś tyczy białego konia, ogiera o przydomku Pegaz, to privatdozent wyjaśnia z przykrością, że nie może oddać go do użytku jakiegoś ciemnego strzelca, postać go w krew i bagno bitew, pod kule, tym bardziej, że rumak Możara nigdy w życiu nie chodził w zaprzęgu i, da to Bóg, chodzić nie będzie. Privatdozent Możar składa wyjaśnienie panu prezydentowi, wielce szanownemu A. W. Mykytasiowi, że ten koń jest koniem unikalnym, egzemplarzem jedynym na całym świecie, że to koń, który nie ma ceny nie tylko w zdevaluowanych rublach mikołajowskich i kierenkach, ale nawet w dolarach i funtach sterlingach. Ten rumak to rezultat dwudziestopięcioletniej pracy, następstwo skrzyżowań najlepszych ras koni arabskich, nepalskich, kozackich, orłowskich i mongolskich. Jest wcieleniem idei Konia w najczystszy kształcie, czy pan prezydent rozumie, co to oznacza? Nie jest przeznaczony ani do pług, ani do taczanki, ani pod siodło, ani do jakiejś innej utylitarnej, trywialnej zabawy. Nie bez kozery nosi imię Pegaza.

Pan prezydent chyba słyszał, co to jest Pegaz? To skrzydlaty koń, koń poezji — wolny jak ptak, natchniony jak opowieści o Penelopie. Pan Możar wyjaśnia, że jego zdaniem rewolucja ma swoje prawa, a nauka — swoje. Pana Możara nie interesuje, jaki system ekonomiczny zwycięży w tej bratobójczej walce, wie bowiem, że mętne fale opadną kiedyś, mogiły walczących armii porosną trawą, a nauka ostanie się i jednym z najwspanialszych jej osiągnięć będzie rasa koni wyhodowana przez privatdozenta Możara. Hodowca wyjaśnia, że niezależnie od następstw koszarnej wojny toczącej się obecnie, ród ludzki będzie żył i jego rumak, jego Pegaz będzie potrzebny ludziom przyszłości jak muzyka, jak harmonijne, wszechogarniające piękno przyrody, że wobec konkretnych okoliczności, w których znalazła się Republika Jaropolska, on, privatdozent Możar, może proponować jedynie własne mizerne usługi — niech do taczanki zaprzęgną raczej jego, ale koń musi pozostać nietknięty.

W tym momencie do pokoju wbiegł Waśka Som z twarzą bynajmniej nie marzycielską, lecz przerażoną i krzyknął:

— Biali nacierają od strony Riabego Chutoru! Taczanek nie ma. Tur zwiął do kadetów, zdrada! Smoła woła o pomoc, bat'ku!

Myktaś wpił się twardym spojrzeniem w *pince-nez* privatdozenta, a żyły na jego skroniach nabrzmiały krwią.

— Żeby mi koń był za dziesięć minut na placu. To wszystko.

I wybiegł na podwórze, gdzie szykowali się do boju zmobilizowani jaropolanie i gdzie wydawano im broń. Istotnie, od strony Riabego Chutoru pęłżyły ponure gromy i w tym kierunku bojaźliwie spoglądali cywile. „Oto tak przelamuje się mój dzień — pomyślał A. W. Myktaś i znowu ból przeszył mu palce. — Trzeba było

od razu rozwalić Tura.” Następnie obliczył: Tur jeszcze trafi w jego ręce w 1925 roku, kiedy w okolicach Jaropola zacznie się fala zabójstw przewodniczących i aktywistów biedoty wiejskiej. Spotka się jeszcze z Turem w podziemiu pałacu Potiomkina, kiedy przyprowadzą do niego na przesłuchanie Matwija — już nie w czamarce, lecz w podartej kufajce, już nie dorodnego, lecz zmarnowanego i zaszczutego wilkołaka, a na stół Mykytasiowi położą obrzyn Tura...

A privatdozent powędrował sobie do swego domu na ulicy Sobornej. Miasto było oklejone rozkazem nr 1 przewodniczącego rewkomu Republiki Jaropolskiej, lecz nie zrobiło się z tego powodu bardziej ludne. „Dekoracje do opery Musorgskiego — Musorgskiego XX wieku — skonstatował w myślach Możar. — Tylko gdzie jest ten nawiedzony, który zaśpiewa swoją pieśń żałobną. Słyszycie — gdzieś tam za sceną chór już próbuje basem melodii, za tymi parterowymi domkami, za obojętnymi oknami, za manierystycznymi kratami zrudziałymi od rdzy, za płataniną chmielu i dzikiego wina.”

Podszedł do niego chłopiec w czapce gimnazjalisty z twarzą jak z księżek Czarskiej, może jedyna żywa istota w tym opustoszałym mieście, i zapytał:

— Proszę pana, czy można jeść gałązkę?

Bo istotnie privatdozent gryzie gałązkę, cieniutką i młodą, pokrytą słodkawą zieloną korą.

— Ja ją zjem — odpowiada Możar — a potem zrobię dziurkę w brzuchu i przez nią zacznie rosnąć drzewo. I będę je podlewał.

Nastolatek w czapce gimnazjalnej zachichotał i zniknął.

A privatdozent już wkracza na swoje podwórko. Widzi dokładnie oblicze owej *vis major*, przed którą dzisiaj składa swą broń — oto macie moją tarczę ozdobioną napisem: „*Beati possidentes*”, oto mój miecz, oto hełm, bo źle się dzieje na niebiosach.

W stajni — ciepłe rzenie rumaka. Żrebiec łasi się do swego pana, macha wesoło ogonem, potrząsa grzywą i wyciąga różowe wargi do dłoni privatdozenta. Możar wyprowadza go na podwórze, następnie idzie do przybudówki, odszukuje bańkę z naftą — najdroższym w czasie wojny i rewolucji płynem — i wraca do swego białogrzywego rumaka. Całuje go w szorstkie wargi, mądre czarne oczy jego całuje, a potem oblewa go śmierdzącą naftą kupioną jeszcze w sklepie Cariowa za pięć rubli mikołajowskich. Żółte nitki ściekają z białych boków Pegaza, koń niecierpliwie tupie kopytem o ziemię, białe mankiety privatdozenta zalane są naftą, cały przesiąkł jej zapachem, włosy ma skłębione i zlepione. Idą, nadchodzą, owi brodacze z siekierami w dłoniach, chór wrzeszczący i bezlitosny jak na sądzie ostatecznym — śpiewają pasję. Ale według kogo? Według Mateusza, Łukasza czy Ognia? Tak, pasja według Ognia żywiącego czy wszechpożerającego, według jego darzącej światłem siły, śpiewają na jego cześć i płaczą. Głosy narastają i owo *crescendo* na cichych jaropolskich wzgórzach, ta siła nadludzka wypala w duszy Możara ostatnie pędy wahania: wyprowadza rumaka na ulicę wiodącą na plac, zapala zapałkę — i pięknisia-ogiera obejmuje ogień...

Smutna historia tamtego okrutnego roku, którą państwu opowiedziałem, zbliża się do końca. Ten, kto oglądał ten przerażający obraz, nie zapomni go na wieki...

Z dzikim rzeniem, w męczarniach wpadł na plac bystronogi piękniś, a ogień łopotał na nim jak czerwone skrzydła. Już jego boki zaczęły się pokrywać czarnymi plamami.

— Swołocz! Bandyta! Kontra! Gad! Rozstrzelać! — krzyczał z rozpaczą Myktaś. Miał ochotę płakać, upaść na ziemię, w glinę i zaszlochać jak małe dziecko, i walić pięścią w tę nienawistną ziemię...

A płonący rumak nappełnił swoim przejmującym rze-

niem Jaropol i okolice i pomknął w dół, do Bramy Potockiego. Wszyscy rzucili się na wały ziemne, zarepetowali karabiny, aby ulżyć męce niewinnego zwierzęcia. Ognisty rumak wybiegł na środek mostu i stanął — nad nim uniosła się czerwona łuna. I w tym momencie zobaczyli wszyscy, że na most wbiegł również oszalały Privatdozent, przytulił się do swego cudnego konia i zaczął rękami rozbijać płomień. Ale było już za późno. Z lewego brzegu, z poddasza pałacu Potiomkina zaterkotał karabin Hotchkissa ustawiony na dwóch żelaznych nóżkach.

Zajazgotał karabin maszynowy z przeciwległego brzegu.

Koń przechylił się na barierkę, a z nim i Możar obejmując go za szyję. Zatrzeszczały poręcze i Pegaz wraz ze swoim panem runęli w dół, w ołowianą kipieli Bohunki.

I tu wydarzyło się to, czego nie mógł nawet przewidzieć sam A. W. Myktaś: powstańców ogarnęła straszliwa wściekłość, nastąpiła ta chwila pogardy dla śmierci, która się zdarza zaledwie raz w życiu człowieka. Podniósł się ów wiatr, którego oddalony powiew poczuł A. W. Myktaś wczoraj wieczorem, kiedy był jeszcze w piżamie w kwiaty i w bucharskim ciepłym szlafroku.

Z tamtej strony sypnął kulami Hotchkiss, ale nawet jego wściekłe serie nie zdołały powstrzymać powstańców. Przez most, przeskakując ciała poległych, wdarli się na przedmieścia i uczynili białym straszliwy pogrom ścinając wiele głów. Sam generał Chłyszczow, siwiuteńki, dokładnie taki, jak wyobrażał go sobie ojciec Nikon, uciekł ledwie żywy autem do swojego Paryża na wygnanie.

Moi wierni czytelnicy! Odwróćcie oczy swoje od tych słów choćby na chwilę i pomyślcie: jaką wielką władzę mamy nad przeszłością! Jak posłuszne są w naszych rękach wydarzenia przeszłości, gdyż wiemy, czym się skoń-

czyły! Z jakim wzruszeniem przewracamy karty pożółkłych gazet, bo wiemy już to, czego nie wiedzieli najmądrzejsi ówcześni korespondenci: kto zginie, odejdzie w zapomnienie, w niesławę, a kto zwycięży i wzniesie się na fali ludzkiej chwały, wrzeźbiony na wieki w kamień, w ten nie kończący się mur, zwany historią...

Kończmy zatem, o bracia, opowieść naszą. Chcecie, to obejrzymy do końca program telewizyjny, w którym dziewczyna jedzie na welocypedzie o trzech kołach — wykapana panna Maria Wróblewska — a za nią pędzi szef kontrwywiadu Griszyn-Griszczenko. Razem z nami posiedzi cicho w wygodnym fotelu pierwszy prezydent Jaropolskiej Republiki A. W. Myktaś. A propos, czy wiecie, łasi wszelkich sensacji czytelnicy moi, że pieniądze i znaczki wypuszczone przez Jaropolską Republikę stały się najcenniejszymi egzemplarzami w świecie filatelistów i numizmatyków? Ale ta sprawa, jak sami rozumiecie, nie dotyczy bezpośrednio naszej opowieści...

Do pokoju wchodzi Maria Kazimierzowna — żona naszego bohatera, A. W. Myktasia, który z pewnym lękiem spotyka jej pytające spojrzenie, bo to kobieta mocnego charakteru i nie cierpi żadnej samowoli, zwłaszcza w sprawach napojów wysokowych: dba o serce swojego męża. Oto właśnie przyniosła dwa skierowania do Kisłowodzka, do sanatorium kardiologicznego i bilety sypialne na pociąg.

Małżonkowie zgodnie wyruszą w dalszą podróż.

I my musimy zbierać się w drogę, bo oczekują nas inne wydarzenia i inni bohaterowie. Pozostawmy więc samym sobie Andrija Wasylowicza Myktasia i jego wierną małżonkę, akompaniatorkę filharmonii Marię Kazimierzownę Wróblewską, ponieważ, jak miemam, nikt z państwa nie wątpi, że to jest ona: tak, niszczące zmarszczki pokryły jej piękną twarz, ale to ona. Dłoń panny Marii, którą tak lubił całować młody porucznik — owo odwieczne niepodległe terytorium chiromantów —

też poddała się niszczącemu działaniu czasu: przeorana jest linia życia, znikła pod koronką zmarszczek linia miłości, a wzgórek ambicji skrył się pod warstwą zrogowaciałego naskórka, ale jest to ta sama dłoń, z której w 1915 roku wyróżyła los stara Cyganka. I życie Marii Wróblewskiej poszło jak we śnie nieznaną, niepojętą drogą...

A Andrij Wasylowicz Mykytaś wciąż nie odrywa wzroku od telewizyjnego ekranu (20 cali), gdzie śmieje się dziewczyna w długiej sukni. Patrzy nasz bohater i nie może oderwać wzroku. Ale na ekranie nie zjawił się plac pokryty końskim nawozem, wypukłooki Waśka Som, łasa na chłopów młódka, powstańcy, privatdozent Możar i płonący koń — nikt nie zjawi się dziś na ekranie telewizora, bo to film nie o naszym świecie, nie o nas. Taka sobie naiwniutka mieszczkańska operetka.

Rozdział trzeci,

w którym autor wyjaśnia, kiedy i z jakiego powodu Wasyl Hryża, inspektor Państwowej Inspekcji Drogowej, spotkał ciężarówkę przedziwnej konstrukcji, przeczącej zasadom ruchu, a także opowiada o Iwanie Smole oraz jego ojcu Kindracie, o którym wspomniano już w naszej poprzedniej powiastce.

Oto, co zostało po nim: dwie nagrody, srebrny romb znaczka akademickiego, cisza i odświętny mundur, którego puste rękawy zostały skrzyżowane na piersi chrześcijańskim zwyczajem. Surowy spokój skrzyni, parciany pas obejmuje pustkę, kant na oficerskich spodniach jest ostry jak żyłtka, a czapka — to dwupiętrowa budowla ze swoją odświętną częścią, ze swą symboliką: żółtymi liśćmi i złotymi skrzydłami. Marsz lotników ulatuje w niebo, szybki i monumentalny jak samolot myśliwski, grzmią trąby, dzwonią talerze — i słońce odbija się od wyglansowanego daszka. A w środku, w ukrytych kąciakach, podkładka wojskowej czapki zachowuje jeszcze delikatny zapach strzyżonej głowy — ta daleka garnizonowa woda kolońska, pogaduszki starego fryzjera Arona Mojsiejewicza, lustro z zielonkawym odcieniem, w którym odbija się chuderlawa twarz majora lotnictwa Iwana Kindratowycza Smoły: Smoła powoli i z zadowoleniem obmacuje palcami podbródek — świeża, młoda skóra wypolerowana wprawną brzytwą Arona Mojsiejewicza.

Major Smoła pokawałkowany na cząstki jak molekula na atomy: oto jego uśmiech o wymiarach 9×12 cm, kiedy to po zdjęciu hełmofonu sfotografował się na tle samolotu szkoleniowego po wykonaniu po raz pierwszy samodzielnego korkociągu: oto jego żona — jasnowłosa kelnerka Wala z oficerskiej stołówki — w Wali podko-

chiwało się niejedno pokolenie pilotów; oto jego córka Switłanka. Maleńki dom na jednej z podmiejskich ulic Jaropola kryje w sobie odbitki jego istnienia — wieczne i nieśmiertelne, jak ślady przedpotopowej paproci w kruchym tworzywie węgla; jego ulubiony ręcznik z czerwonymi kogutami, jego stary rower, na którym jeździł na pocztę po ojcowskie listy, kiedy ojciec leżał w lazarecie w Olsztynie. Sterczy nad dachem telewizyjna antena zmajstrowana przez niego podczas ostatnich odwiedzin w rodzicielskim domu: zamontował na werandzie specjalny blok sterujący anteną, jakieś kółka, trybiki i pasy transmisyjne. Z ich pomocą antena obraca się dookoła własnej osi wyławiając blade cienie fal jakichś odległych zagranicznych stacji telewizyjnych: jak rentgenowskie widma przepływają przez ekran anemiczne postacie spikerów i śpiewaków. Tak oto teraz rozsiadła się po całym domu cała konkretność jego istnienia, a do skrzyni podchodzą na palcach jak do trumny: to starodawna kozacka skrzynia pięknie pomalowana w czerwone i zielone kwiaty. Olejna farba zwietrzała i szczerniała, a skrzynię osmałiły ogniska przeszłości. To ciężka, jak wspomnienie o Koliszczyźnie skrzynia, w której spoczywa do dziś weselny strój jego matki i świeczka, z którą stała w jaropolskiej cerkwi; migotliwy płomień tej świeczki powinien zapłonąć w dzień pogrzebu, bo tak każe zwyczaj. Ale zanim zapaliła się ta świeca, do skrzyni włożono odświętny mundur lotniczy majora lotnictwa myśliwskiego I. K. Smoły oraz mapę z nakreśloną na niej kapryśną czerwoną linią.

Najpierw latał nad pustynią. Latał nad Morzem Aralskim i wpatrywał się w mętne, gliniaste fale Amu-Darii, w kapryśne zygzaki jej koryta. Rzeka żyła wielkim niespokojnym życiem, wstrząsały nią dreszcze, zmieniała swój bieg i koryto, a potem znowu powracała na stare ziemskie szlaki. Z wysokości siedemnastu tysięcy metrów przez warstwę rozrzedzonego niebieskawego powietrza

było wyraźnie widać wielbłądzi grzbiet pustyni, z której odczytywał jemu tylko zrozumiałe znaki starodawnych i nowych cywilizacji: szlaki karawan i torów kolejowych, pradawne cmentarze i srebrzyste, obłe kopce składów benzyny, suche, popękane placki wyschniętych oaz i geometryczną stalową harmonię linii wysokiego napięcia. Budziła się w nim tęsknota za chmurami — ciężkimi, oślepiająco białymi jak bryzgi jakiegoś nowego metalu, takimi chmurami, co zawsze wędrowały nad jego ojczyznę. Do tych pustynnych okolic chmury przepływały rzadko, niechętnie, a jeśli już przylatywały, to jedynie pod wieczór. Gasnące słońce na krótko zabarwiało je na czerwono i zdawało się Iwanowi, który prowadził samolot, że są to długie czerwone ryby spoczywające na dnie piaszczystego oceanu. Latał nad pustynią i pokonując barierę dźwięku na długo zostawiał za sobą grzmot silnika; wielbłądy melancholijnie wznosiły do góry senne głowy — huk odrzutowca i przeszłość pozostawały z tyłu, podobnie jak wiatr i biała smuga skondensowanego gazu. Iwan stawał się nieważki i skupiony, uważnie przysłuchiwał się odgłosom naziemnych stacji, chrapliwych i obojętnych, aby rzucić do laryngofonów również własne słowa — codzienne hieroglify nieba: koordynaty marszruty, ilość paliwa, prędkość lotu, a potem płynąc na granicy nocy i dnia, płynąc w górnej, przezroczystej warstwie atmosfery w lodowatej (-56° Celsjusza) przestrzeni, jeszcze opromienionej słońcem. Gdzieś daleko w dole już dawno zaczął się wieczór, już wszystkie kolory stopiły się w jednostajną masę, już toczy się nocne życie pustyni, wychodzą na polowanie zwinne jaszczurki; już można się orientować według gwiazd, bo niebo robi się czarno-fioletowe, barwy dojrzałych karakałpackich winogron i można lecieć po gwiazdnej mapie nieba. Ale my nie liczymy się z drogowskazami przyrody, ignorujemy stałość jej zasad, niezłomność jej planetarnych mechanizmów, niezmiennność jej lśniących w górze locji.

Wymawiamy posłuszeństwo, stwarzamy własne punkty orientacyjne, nie zależymy od przyrody — zależymy jedynie od deski rozdzielczej, od jej niepewnych, fosforycznych abstrakcji. Zależymy od samych siebie, od tysięcy drobnych przypadków i jeszcze od czegoś nieznanego, co nazywa się naszym losem.

Iwan pokochał tę krainę — suchą spiekotę i brunatną powierzchnię takirów przeżartych białymi plamami soli jak żołnierska bluza, na której występuje sól. Pewnego razu zdarzyła mu się awaria, musiał skierować samolot na ziemię i jego MIG rozorał płynną, oślepiającą, jakby zaścienioną pierwszymi śniegami powierzchnię i poznał na niej czarne smugi... Wówczas to poczuł po raz pierwszy, że pustynia nie jest martwą strefą, nie stanowi schematycznego, polarnego przeciwieństwa wilgotnych żywych ziem na zachodzie, jak mu to podpowiedział zdrowy chłopski rozsądek, który nie mógł pogodzić się z nieurodzajnością tej czerwonej gleby, z bezmyślną wędrówką i śpiewem piasków. Ale podczas godzin spędzonych na skrzydle myśliwca w oczekiwaniu na chłopców z objazdowej stacji remontowej zrozumiał chyba prawdziwą istotę pustyni — jest ona wyzwaniem rzuconym słońcu, jego brutalnej niszczącej ognistej sile, jest wyzwaniem rzuconym protoplazmą, dalekimi podziemnymi zbiornikami wód, istnieniem dżurgunu i saksaułu, nieprzerwanym oddechem chrolofilu w głębinach wyschniętej materii, gorącymi wielbłądzimi garbami, wesołą krzątaniem puszystych szarorudych myszek, zasmakowanym i ukrytym życiem, bardzo ograniczonym w swych formach cielesnych i nieograniczonym w kształtach duchowych. Iwan przypomniał sobie popularnonaukową broszurkę, gdzie była mowa o dziwnych rękopisach znalezionych nad Morzem Martwym; tajemniczy, głodny żywot starożytnych narodów, intensywny strumień ich myśli, miraż jako następstwo nie samych tylko złudzeń optycznych, lecz także szczególnego stanu ducha sięgają-

in crying 4



cego poza mizerny widnokrąg codzienności, powszednich trosk aż do granic prorocstwa i samowyrzeczenia. Oto prawdziwe granice pustyni, oto rzeczywiste wymiary rzeczy, gdzie dokonuje się odwieczny dramat między rujnującym pierwiastkiem słońca a życiodajną siłą wilgoci.

Łyk.

Łyk wody zawrócił Iwana do zwyczajnego kręgu stereotypowych wyobrażeń o pustyni, nad którą wzniósł się jego myśliwiec. Leci lotem ślizgowym nad tymi nie kończącymi się piaskami i jego wzrok pragnie tylko jednego: punktu orientacyjnego. Iwan trzyma stopy na pedałach i jeszcze nie widzi, lecz już odczuwa całym swoim jestestwem, chwytnymi palcami, ściskającymi koło sterowe odczuwa zbliżanie się poligonu i w jakimś nieuchwytnym momencie daje salwę. Rakiety obsypują samolot, który wibrując pruje w niebo, mknie do stratosfery, a daleko w dole gasną jego ogniste szlaki — brudnożółte słupy kurzawy opadają powoli w powietrzu, a roztopione wysepki piasku błyszczą na słońcu. Idzie znużony po betonie zastanawiając się, czy będzie dzisiaj w stołówce chłodnik.

Ród Smoły pogubił powoli na drogach historii swoje cygańskie, wschodnie, okrutnie piękne rysy, którymi chlubił się niegdyś kozak-przybłęda Kyryło o przydomku Smoła. Zjawił się pewnego dnia nie wiadomo skąd na wyspie Tomakiwka wtedy właśnie, kiedy buntowniczy hetman uczynił tam był swoją rebelię. Zimą, w lodowatym wietrze, twarz Smoły nabrała popielatej barwy, szron ukrył czarne wąsy, skóra lepiała się do żelaza. Podczas którejś z wypraw na Lachów Kyryło znalazł taką jak on sam energiczną smagłąwą młodkę, z którą osiedlili się później w Jaropolu na prawym brzegu Bohunki. Mieszkał tu lud stepowy — czarniawi, niespokojni, porywczy ludzie, schizmatycy skłonni do buntów i rozruchów. Natomiast lewobrzeżni mieszkańcy należeli do leśnych plemion — ludzi rozsądnych, jasnowłosych, łagodnych, lu-

biących śpiew. Tutaj, na tych pagórkach, wśród zarośli, w porze opadania liści, wśród szamotania drzew mieszała się krew stepowa i leśna, westchnienia, jęki, a potem znieruchomiałe spojrzenia na niebo — patrzcie no, dzikie gęsi trzepocą skrzydłami odlatując z tych powolnych, sytych ziem, gdzie lato chyli się już ku jesieni. W naszych czasach znany nam wszystkim profesor Mykoła Sydorowicz Chołodny przebadał dominujące i recesywne cechy wszystkich odłamów ludności Jaropola: zachowało się kilka zaledwie odsetek czystych typów stepowych, które gubiły się wśród ogółu form mieszanych i przejściowych: smągła cera, jasne oczy, ciemnoblond włosy, łagodny charakter. Kindrat Smoła oraz jego syn Iwan należeli do najbardziej rozpowszechnionego jaropolskiego spóółstwa.

Kindrat Smoła pracował w sowchozie im. Klary Zetkin. Oczywiście, mógł się przenieść do brygady samochodowej nr 5 niedaleko od swego domu, bo zarobki tam większe, ale nie chciał. Nie chciał porzucać swojego „helikoptera“ — starego ZŁ-a przystosowanego do przewozu siana. Kindratowy „helikopter“ nie mógł swobodnie wyjeżdżać na zwykłe drogi, gdzie panuje wielki ruch, gdzie można zaczepić o pierwszy lepszy wóz jadący z przeciwka. Wskutek tego jeździł polnymi drogami na drugim i trzecim biegu — nikt mu nie zawadzał, nikt nie popędział z tyłu klaksonem, mógł kręcić sobie spokojniutko kierownicą, palić wolniutko papierosa i nie martwić się o nic. Aż tu pewnego razu powraca do Jaropola — a był przenikliwie zimny listopadowy dzień, w przydrożnych rowach pływały kawałki lodu, pola były czarne, aż niebieskie — i wiezie mysioszare cukrowe buraki, nie włącza wycieraczek, bo deszczu prawie że nie ma, i myśli o węglu: czy go wystarczy na zimę, czy ma go jeszcze przywieźć, i o tym, że jego stara pędzi teraz chyba samogon — nie na sprzedaż, lecz dla siebie, bo państwowa wódka jest za droga. Wyobraża so-

ble, jak Hanna podstawia łyżkę pod przejrzysty strumyczek, jak siorbie ten ognisty płyn i na duszy robi mu się zacisznie i ciepło. Wjeżdża na podwórze sowchozu i widzi, że biegnie do niego w rozpiętym palcie z siwym karakułowym kołnierzem sam dyrektor, Otar Iwanowycz Gelbachiani, wesół brzuchacz z dziecinnym rumieńcem na twarzy: „Kindracie, biegnij czym prędzej do komendy wojskowej!” Kindrat patrzy na dyrektora nie widzącymi oczami i przysiadła na stopniu swojego „helikoptera”... A w komendzie wojskowej, gdzie zawsze pachnie atramentem i tytoniem, gdzie na wielkiej czerwonej tablicy wiszą fotografie marszałków surowo spoglądających na Kindrata Smołę, stoi znajomy kapitan bez ręki, a obok niego nieznanomy młody lotnik i obaj coś tłumaczą Kindratowi, pokazują jakąś mapę, jakieś wnioski i dane, a za oknem zaczyna padać śnieg, zaścielając całe miasto. I fortecę Potockiego pokrywa białe pasmo, podobnie jak kopułę soboru. Jedyne Bohunka ciemnym sierpem przecina miasto.

Oboje z Hanną, skuleni, szerniali, razem z tamtym nieznanym lejtnantem lecą na Daleki Wschód, nie dostrzegając zgiełku szklanych lotnisk i nie dziwiąc się niczemu: lecą na spotkanie mroźnego słońca i oceanu. Młody, podobny do Iwana generał całuje Hannę w rękę. Wala płacze na jej piersi (Switłankę odwieziono do Moskwy, do rodziców Wali). Unosi się tu wielka mgła i mroźna wilgoć, ale mimo to samoloty raketowe, zostawiając po sobie smród, znikają w atmosferycznym trzęsawisku, a potem wynurzają się z niego ślizgając się po pasie startowym. Tutaj, w klubie, odbywa się żałobny wiec poświęcony pamięci majora Smoły. Kindrat i Hanna słuchają przemówienia. Hanna szlocha patrząc na portret syna w czarnej ramce. Wreszcie starzy unoszą się na helikopterze nad tajgą — tu zapaliła się jego maszyna. Widzą drewniane prostokąćiki miasteczka (gdyby Iwan się katapultował, jego samolot spadłby na to

miasto, w którym jest kilka przedszkoli), helikopter warczy nad powierzchnią morza, generał sprawdza mapę. „To tu” — mówi nareszcie.

To tu.

Morze kipi białymi wściekłymi barankami. Do wody leci wieniec, tańczy na jednym miejscu... To tu.

Najpierw Iwan latał nad pustynią. Potem przeniesiono go na Daleki Wschód, do tajgi. Pokochał ten dziki kraj, jego sopki umalowane ponurym błękitem. Potężne chmury kłębiły się nad lotniskiem i płynęły ciężko i leniwie niby skupisko białych niedźwiedzi. Zimna ochocka mżawka kropiła często na samoloty, na warsztaty, na pasiastą budkę radiolokatora, na małą osadę i wówczas zjawiała się tęsknota za przejrzystością azjatyckiego nieba, za pustynią. Ale latem słońce rozsuwało chmury, pomarańczowo płonęły w tajdze kwiaty „żarki”, nocami nie chciało się spać, piloci byli podnieceni jak po wypiciu mocnej chińskiej cytrynówki. Zdawało się, że życie zaczyna się od nowa, jaśniało na duszy i na niebie, a on z Walą spacerował po tajdze (smarowali tylko ręce i twarze maścią przeciw komarom i innym owadom); oboje podziwiali jeszcze nie rozwiniętą do końca potęgę tego ponurego pradawnego lasu, który rozpoczynał się od brzoź.

Kindrat i Hanna powrócili do Jaropola. Cały kraj dowiedział się o bohaterstwie ich Iwana — miliony ludzi zobaczyły na ekranach telewizorów, jak płacze Hanna Petriwna Smoła, i ona sama znów gorzko zapłakała widząc swój płacz na szklanym ekranie. W Jaropolu zjawiała się ulica Iwana Smoły, jego imię otrzymała drużyna pionierska w szkole, gdzie się kiedyś uczył.

I oto, na czterdziesty dzień po śmierci syna, Hanna wybrała się do cerkwi na nabożeństwo żałobne: zapisała wszystkich, za których należałoby się pomodlić — Matwija, Olesię, Stepana, Iwana, siwe włosy schowała pod czarną chustką. Ale tu zjawił się jej stary, zły, wychu-

dzony, jakby leżał w szpitalu; i Hanna aż pobladła od jego słów. „Przeklęta babo — powiedział Kindrat zaskakując pięści — ty diabelskie nasienie, ani mi się waż odprawiać panichidę za żywego, bo to straszliwy grzech.“ — „Jak to? — wykrzyknęła Hanna. — Czy się wściekł?“ — „On żyje“ — powiedział Kindrat i obejrzał się tajemniczo, jakby go ktoś podsłuchiwał. Ale wszystko dokoła było martwe — żelazna kukułka, zegar bez wskazówek, papierowe kwiaty, obrazy, ręczniki, a śnieg za oknem sypał wciąż, bo była bardzo śnieżna zima i Otar Iwanowicz Gelbachiani jeździł nie wołgą, lecz łazikiem z napędem na cztery koła. — „On żyje“ — powtórzył Kindrat. „A gdzie jest? Kto to powiedział?“ — krzyknęła Hanna, o mało nie tracąc przytomności. „To ja ci mówię, a ty słuchaj, diabelskie nasienie. Wyskoczył ze spadochronem i zniosło go gdzieś daleko od tajgi. Jest w tajdze. Może zimuje tam gdzieś w jakiejś chałupce, a może wędruje i błąka się, bo sama widziałas, jaka ogromna jest ta tajga.“ „Oszalałeś — rozplakała się Hanna. — Stary dureń z ciebie albo wariat, albo pijany...“ — „Żyje!“ — walnął pięścią w stół Kindrat, na co Hanna powoli ściągnęła z siebie chustkę i schowała do szafy. Tylko drzwi z lustrem zaskrzypiały głośno. Tego samego dnia Kindrat rzucił do skrzyni mapę z ostatnią marszrutą majora Smoły — tajga, brzeg morza i kwadrat morza, gdzie czerwona linia kończy się czerwonym krzyżykiem — i zamknął skrzynię na wielką kłódkę. Od tego czasu zaczęła się dla Kindrata nowa pasja, której nie miał przedtem — cały wolny czas nie odstępował od radiodbiornika. Jak tylko wróci z sowchozu, umyje ręce i w pośpiechu, byle jak, zje obiad, zaraz siada do radia. Na początek wolniutko przejeżdża po długich falach, słucha Kijowa, a kiedy występuje trio bandurzystek, to słucha nawet dłużej; potem przesuwa się obok — na stacje rumuńskie i polskie. Na krótkich falach szuka moskiewskiej stacji „Majak“, po-

nieważ bardzo szanuje jej audycje: co godzinę „Ma-jak” nadaje ostatnie wiadomości, robi to zwięźle, nie leje wody na przykład o kieszaniu kukurydzy. Godzinami kręci Kindrat gałką radia wsłuchując się w głosy cudzoziemskich spikerów, czy wymknie im się przypadkiem słowo „s m o ł a”, bo słowo to da się wyróżnić nawet w brzmieniu obcych słów. Ale przeszkadzają mu jakieś jazzy, a spikerzy chińscy bulgocą głodnymi głosami słowo „Maotsetung”, zaś amerykańscy — słowo „Wietnam” i nie potrafią tego słowa przełknąć. Każdy ma swój kłopot. Jacyś chyba pijani śpiewacy drą się chrapliwie i jedynie na falach ultrakrótkich słychać spokojne głosy lotników rozmawiających z ziemią. Tylko gdzie są ci lotnicy?

Wiosną Kindrat pojechał do Kijowa, do pewnego starego dziadka w Darnicy, o którym powiedział mu szerokogęby rachmistrz z drugiego wydziału. Dziadek świecił ogoloną głową, ale brodę miał siwą i splątaną, pierś włochatą, a ręce silne jak kowal. Dziadek obmacał Kindrata spojrzeniem, potem wziął małe lusterko, spojrzął w nie jak w studnię, przestraszył się i spochmurniał. „Widzę, że ludzie leżą na śniegu — powiedział — a czy są żywi, czy martwi — tego nie widzę...” „Widzę dwieście dróg i człowieka, który nie wie, jaką drogą pójść...” „Widzę go, a czy jest żywy, czy martwy, tego nie wiem...” „Jest droga ziemi, droga wody, droga kamienia, droga ognia, droga nieba, droga żelaza, a którą drogą poszedł — tego nie widzę...” „A gdzie jest teraz, gdzie?” — spytał Kindrat, lecz dziadek spojrzął na niego tak surowo, że Kindrat przeląkł się, a dziadek znowu zajrzał do lusterka i Kindrat pomyślał, że gdyby mógł dostać to lusterko, to oddałby za nie i telewizor, i radio, i wszystko, czego by sobie zażyczył ten łysy starzec. „O, on idzie! — złapał dziadek za rękę Kindrata. — Żyje! Żyje! A ludzie na śniegu wciąż leżą. Chyba nie żyją...”

Kindrat wrócił do Jaropola pod wieczór, kiedy ciepłe wiatry tańcami przebiegały nad Bohunką, asfalt na szosie wysechł i zrobił się jasny, a w kawiarni „Marzenie” rozpoczęły się tańce i przy drzwiach zgrupowali się ludzie bez płaszczy, wszyscy w czarnych garniturach i nylonowych koszulach. Hanny nie było w domu, Kindrat wyciągnął z szafy odświętną bluzę wojskową z orderem „Sławy” i naszywkami za zranienia, których już się teraz nie nosi — ludzie nie pokazują swego kactwa, wstydzą się: na to włożył szoferską kufajkę i poszedł na sowchozowe podwórze. Wypalił razem ze stróżem Sawką papierosa, opowiedział mu o Kijowie, o nowym domu towarowym, gdzie są ruchome schody jak w metrze i można jeździć za darmo choćby przez cały dzień. Potem Kindrat zatankował swój „helikopter” (Sawce powiedział, że dyrektor kazał mu pojechać na stację po nawozy mineralne) i wyprowadził auto na pustą szosę. Sawka przysięgał później, że od Kindrata nie pachniało wódką ani troszkę, ale nikt mu nie wierzył...

Wrzucił pierwszy bieg i jechał nie włączając świateł — z tyłu dopalał się wiosenny kaganek słońca. Kindrat rozumiał od razu, o jakich ludziach na śniegu mówił Łysy: pod Naro-Tomińskim na śniegu on i chłopcy z jego kompanii: niemieckie czołgi suną na nich, a on prosi Gafura Rachimbajewa, żeby nie strzelał i zaczekał, aż czołgi podjadą, a kiedy Gafur nie posłuchał i dał serię, to przylał mu Kindrat łopatą po tyłku, bo młody i głupi... Chociaż dokoła śnieg, u Kindrata ład jak w domu: granaty starannie ułożone we wgłębieniu okopu, obok naboje i pociski, termos (znalazł go w jakimś pustym budynku) z gorącą herbatą, bo podczas bitwy nie-ludzko chce się pić. W tej bitwie termos został rozbity odłamkiem, herbata pozostawiła na śniegu żółtą plamę jak mocz. A kiedy dziobaty Stepan Oseczyński nie wytrzymał jazgotu i poszedł na spotkanie czołgów z rękami

do góry, Kindrat położył go dwoma strzałami... Tu oto, na tej rubieży leży na śniegu Kindrat i jego chłopcy, czekają, a gdzieś w sąsiedniej dywizji walczy jego starszy syn Matwij. I jeszcze żyją, choć w rękach Matwija wybucha butelka z płynem zapalającym i Matwij tarza się po śniegu, drapie ziemię, dusi płomień, ale jeszcze żyje...

Kindrat rozpędził tę kupę żelaza i gumy do 90 km na godzinę, leci koło zacichłych wiosek, zgrzyta i jazgocze jego „helikopter“ jak niegdyś jazgotały czołgi, z lękiem uskakują z szosy przypadkowi spóźnieni przechodnie, leci Kindrat Smoła na swoim „helikopterze“ — noc, wiosenne szmery, pora, kiedy zda się człowiekowi, że życie zaczyna się od początku...

Młody lejtnant milicji Wasyl Hryza, inspektor drogowy N-skiego okręgu, dyżurował na siedemdziesiątym trzecim kilometrze szosy, kiedy zauważył ciężarówkę niezna-nej konstrukcji („niegabarytową“, jak to później wyjaśniał), która pędziła bez świateł środkiem szosy z nadmierną szybkością. Wasyl Hryza zorientował się błyskawicznie, czym pachnie ta nocna przejażdżka pijanego kierowcy, chociaż ciężarówka jechała nad podziw równo, bez zygzaków, które zazwyczaj wykonują podchmieni jaropolscy kierowcy. Szybko zapalił milicyjną lampkę i włączył czerwone światła chcąc zatrzymać pirata. Ale dziwny stwór przemknął koło niego i tylko owionęła go ciepła fala spalin. Wtedy dziarsko wskoczył na siodełko motocykla i zaczęła się pogoń, którą Wasyl Hryza będzie wspominał całe życie. Jasna akwarelowa smuga na zachodzie zmniejszyła się do wymiarów wąziutkiej szczeliny, w której ledwie można było dostrzec granicę między ziemią a niebem. Cisza nastała na tej ziemi, jakby wszystkie jej dzieci zapadły w nocny sen, i tylko stary Kindrat wspominający Olesię w 1928 roku, całą w kwiatkach, i młodszy lejtnant Hryza na próżno usiłujący odczytać numer uciekającej ciężarówki — tylko dwóch

ludzi na tej ziemi tonęło w huku motorów. Hryza przeraził się spojrzawszy na szybkościomierz — pędził z szybkością 110 kilometrów na godzinę, a odległość między nim a przekłętym uciekinierem nie malała. Już za chwilę będzie skrzyżowanie, gdzie rozchodzą się drogi na Charków, Kijów i Lwów. Tam zawsze jest duży ruch i nie sposób uniknąć nieszczęścia... Wasyl Hryza wyjął z kabury pistolet i zaczął celować do ciężarówka Kindrata... i raptem o mało nie zemdlął ze strachu i zdziwienia. Nie wierzono mu później i mówiono, że to ze zmęczenia, a może z innego powodu, jak znacząco mówił któryś ze zwierzchników, Wasylowi coś się przywidziało. Bo inspektor zobaczył, jak ciężarówka nie dojeżdżając do skrzyżowania uniosła się w powietrze niczym samolot na lotnisku i zaczęła szybko nabierać wysokości, zmniejszać się i zmniejszać, aż znikła zupełnie w ciemności z oczu młodszego lejtnanta Hryzy.

...Nikt w naszym mieście od tamtego czasu nie mógł nic pewnego powiedzieć o tym, gdzie podział się Kindrat Smoła. Dopiero całkiem niedawno wśród części jaropolan poszła fama, która całą tę historię przedstawia w dziwnym świetle. Chłopcy, którzy pracowali przy budowie linii wysokiego napięcia w tajdze, przy tzw. „LEP-500”, opowiadali po powrocie do Jaropola, że czasem w nocy po leśnych drogach, tam gdzie pnie, bagna, popalone kikuty drzew, paproć, gdzie nawet w lipcu bywają przymrozki, po ciemnych przesiekach w tajdze lata jakieś ciężarowe auto, trzytonówka czy coś w tym rodzaju, tylko o niezwykłym kształcie, podobna do „helikoptera”, na którego poluje cała drogówka — pędzi z niezwykłą szybkością, z zapalonymi światłami, wskakuje na sopki, krąży w pobliżu dalekich zimowisk, przecina wielkie magistrale i znów znika wśród lasów. I podobno kierowca tego zagadkowego auta nie boi się niczego — nie boi się złamania tylnego mostu na

przełęczach, czy zamrożenia lub rozerwania chłodnicy zimą lub zatarcia osi wiosną, kiedy dalekowschodnie rzeki rozlewają się od horyzontu do horyzontu, a ziemia przeobraża się w jedno grząskie rude bagno...

Różne rzeczy mówiono w Jaropolu. Powiadali ludzie, że spotykali samego Kindrata — w bluzie wojskowej, przy orderach i medalach, w pełnej gali, jak błąka się po tajdze, odwiedza Jakutów i staroobrzędowców rozpytując o swego Iwana; ludzie goszczą go, rozścielają posłanie na piecu, aby pogrzał się choć trochę, ale on dziękuje uprzejmie i idzie dalej nie bacząc na mróz, od którego ptaki zamieniają się w szkło; idzie podzwaniając surowo medalami. A w ogóle, to różne rzeczy mogą wygadywać u nas w Jaropolu ludzie. Pewien krótkofalowiec (nie wymienię jego nazwiska — powiem tylko, że jest żonaty z siostrą Moti Skuratowa, który mi to opowiedział) przysięgał, że od czasu do czasu na krótkich falach w paśmie od 15 do 43 metrów można natknąć się na głos starego Kindrata (któż w Jaropolu nie pamięta jego głosu) i usłyszeć, jak powtarza wciąż to samo: — Słyszysz, Iwanie? Odezwij się! Słyszysz, Iwanie?!

Tenże radioamator opowiadał, że głos Smoły udało się nagrać na taśmę magnetofonową, ale nikt nie wie, skąd wziął się ten głos.

Zupełnie inną pogłoskę o naszym rodaku przywieźli marynarze z floty handlowej pływający do Japonii i Wietnamu. Podobno spotykali na morzu niezidentyfikowany obiekt pływający, w zadziwiający sposób przypominający auto — cztery koła, kabina kierowcy i szeroki pokład bez poręczy. Tę zagadkową maszynę zauważono w określonym kwadracie morza, gdzie zawsze pływa na wodzie wiele kwiatów. Woda jest tam zimna, czarna, ale bogata w srebrzystą sajrę. Nocą, kiedy nieznana łódź zapala światło, zbiera się dokoła lśniąca jak chromowa stal ławica sajry, jakby przyciągał ją potężny

magnes. A na wodzie pływają kwiaty — aksamitki i maciejka.

Oczywiście, wszystkie te rozmowy były czysto teoretyczne i nigdy nie zostały poparte materiałem faktycznym, na co zwrócił uwagę stary rencista, nasz niezmordowany działacz społeczny S. O. Nabokow, który miał na ten temat w miejskim lektorium kilka odczytów o zabobonach i różnych zagadkowych optycznych zjawiskach przyrody, znanych pod nazwą „inwersji temperatury“.

Rozdział czwarty,

którego treścią nie jest nic innego, jak prezentacja pewnej hipotezy biochemicznej, której nie można interpretować w sensie teologicznym, co udowodnił eksperymentalnie po szeregu sporów z doktorem Stülpnaglem nasz rodak, laureat Nagrody Nobla, profesor M. S. Chołodny.

Zdarzyło się to podczas Wielkiej Wojny, tej wojny, która błyska światłem z porysowanych taśm filmowych. Wielu z was rodziło się dopiero w tajemnicy pod sercem matki, rośliście jak trawa nocą na przekór błotnistym drogom, czarnym polom i spalonym wsiom, zapaskudzonym zmarzłymi fekaliami. Wówczas nie było jeszcze wszędobylskich samochodów na powietrznych poduszkach — były wszelako kadłuby dieslowskich samochodów i objedzone końskie szkielety, żółte śmierdzące kości, i miotacze ognia wtedy już były — to taki przyrząd, który przypomina żołnierski plecak: pod dużym ciśnieniem wytryska zeń strumień ognia, anioły śmierci wlatują w górę, kiedy wybucha benzyna — pomarańczowa kula, czarno podpalana, jakby ktoś miesił w dłoniach owo ogniste ciasto.

Kiedy zaczęła się Wielka Wojna, mieszkał w Jaropolu Mykoła Sydorowycz Chołodny. Słyszeliście na pewno to nazwisko i wyobrażacie sobie pewnie takiego dziadziusia z szyją wyschniętą jak pień pustynnego drzewka, siwego, aż omszałego ze starości, w czarnym profesorskim krawacie, takiego sobie człowieka, który całe życie strawił nad książkami, czyż nie tak? No to wiedźcie, że nie było w Jaropolu większego lowelasa niż Mykoła Sydorowycz, który dosłownie szalał, kiedy spotykał ładne dziewczęta, a ładne dziewczęta widywał codziennie, bo wykładał w Akademii Medycznej. Co tu dużo mówić —

mężczyzna z niego był diabelnie przystojny — wrzała w nim tatarska ciemna krew, zawsze miał głowę ogoloną do skóry, aż stały się po niej różowawe odblaski, władcze zmarszczki okalały mu usta i zadziwiały łagodne ręce mnicha. Zgodnie ze swoim zwyczajem chodził w kamizelce, w wyszywanej koszuli, a na marynarce z lewej strony do butonierki miał wpięty rzemyczek, na którym uwiązany był szwajcarski zegarek — maleńkie mechaniczne serce, wystukujące minuty, które zostały jeszcze do początku Wielkiej Wojny.

Chołodny zajmował się fizjologią i anatomią porównawczą. Warto dodać, że doskonale opanował egipską tajemnicę balsamowania zwłok — radzę państwu pójść do muzeum anatomicznego, gdzie do dziś są jeszcze eksponaty preparowane przez profesora Chołodnego. Za każdym razem, kiedy bywam w owym na wpół piwnicznym lokalu, mam wrażenie, że spoglądam w lustro spod tamtego brzegu Styksu, a zimny nurt tej rzeki obejmuje mnie powoli. Zasypiam stopniowo, tracę wagę, jak gdyby obracały się wniwecz siły ziemskiej grawitacji i moich cielesnych pragnień. Wpatruję się jak zaczarowany w twarze ludzi, których unieśmiertelnił Chołodny. Piękne są te oblicza jak kwiaty w zielniku, ich woskowe uśmiechy ślą dalekie pocałunki z lat 1922, 1933: genialnym konstruktorem uśmiechów był ten niesamowity jaropolski profesor. Nasz bohater wyróżniał się spośród ówczesnych luminarzy Jaropola szczególną pychą i ambicjami: kiedy zmarł kanclerz Niemiec stary Hindenburg, z Moskwy przyjechał jakiś typek w rudym filcowym kapełuszu i uniżenie prosił Chołodnego, aby natychmiast zechciał pojechać do tego żelaznego, zdyscyplinowanego kraju, gdzie dokonałby rytuału zabalsamowania starych zwłok, za co otrzymałby, rzecz jasna, honorarium w dewizach. Ale duma lub jakiś szal uporczywie opanował raptem Chołodnego, tak że zdecydowanie odmówił udziału w balsamowaniu zwłok Hindenburga. I nikt nie mógł do-

szukać się prawdziwej przyczyny odmowy: opinia społeczna wahała się między antyteutońskim patriotyzmem, który rzekomo był właściwy profesorowi, a drobną ćwierćgodzinną intrygą, która rzekomo pochłonęła bez reszty naszego Mykołę Sydorowycza, bo nie zechciał zamienić szybko przemijających pieszczot pięknej młodej jaropolanki na czarne ekspresowe pociągi i żalobną miedź pruskich orkiestr.

Potem nastąpiły wesołe czasy. Hitler siedział na ciepłym jeszcze fotelu kanclerza, uprzejmie zapraszając swoich Parteigenosse, aby zechcieli posadzić swoje narodowo-socjalistyczne zadki na arystokratycznym aksamicie. Profesor Chołodny całował różowe kolana pewnej słodkiej dziewczyny w zacisznym pokoju gdzieś na krańcach Jaropola, kołdra — puchata i czerwona jak pożar — upadła na podłogę. Na świetle zjawiało się wtedy aż zbyt wielu poważnych ludzi opasanych rzemieniami i z pistoletami u pasa; spędzali bezsenne noce nad papierami wszelakiego rodzaju, byli nieprzeniknieni jak sejfy, gdzie chowano plany mobilizacyjne. Właśnie wtedy agencja PAT uszczęśliwiła świat informacją, że panowie Kowalski i Malinowski skonstruowali niezawodny schron przeciwbombowy przeznaczony na potrzeby jednej rodziny, mający wygląd wielkiej oplatanej flaszki. Czy państwo wyobrażacie sobie, jakie etykiety miały się zjawić wkrótce na tych przemitych butelkach? Otóż takie: „krew czysta ukraińska“, „mocna polska“, „słodka żydowska“. Ale tykał jeszcze zegarek w lewej kieszonce profesorskiej marynarki wiszącej obok gitary („Gdy nadchodzi dla dwojga rozłąka, to biorą się za ręce...“ — zapomniałem dodać, że Mykoła Sydorowycz pięknie śpiewał barytonem), a dziewczyna, rozrzuciwszy ręce, leżała na kanapie i oddychała lekko jak ptaszek w kwietniu. Rozumiecie państwo, że są dziewczęta niby słońce lub powietrze i nie należą do nikogo. To nie te osobiste narzeczone, które jak metraż czy samochód przypisane

są do określonych właścicieli. Nie, to była dziewczyna jakby umyślnie stworzona do tego, aby uszczęśliwiać samotnych mężczyzn i tych, którzy już zaczynają tracić pewność siebie. I oto zjawia się ona, ty zaś przytulasz twarz do jej ciepłych piersi i niespodziewanie czujesz się wolny, silny, niepohamowany. Łykasz jakby narkotyki i spada na ciebie ciemna pomroka, zatrzymują się zegary całego świata i śmierć odstępuje od ciebie. Czarne kruki odlatują na chwilę od twego drzewa, nie jesteś już samotny, bo nie należysz już do siebie samego, zasnuwa cię spazm jak mgła zбочe góry i nikt nie należy do siebie, bo stukanie jej serca (to tak, jak gdyby mały żreback kłusował po twojej drodze) przenika stopniowo do twojego ciała, staje się twoim istnieniem, jej oddech przekształca się w twój, jej szloch staje się twoim jękiem. Ale okrutne mechaniczne serce Mykoły Sydorowicza Chołodnego odstukuje ostatnie minuty szczęścia; ale zaferowani jeźdźcy i automobiliści w skórzanych płaszczach i skoncentrowani sztabowcy już pędzą w noc wioząc ze sobą pakiety z tajnym rozkazem Ludowego Komisarza Obrony Semena Tymoszenki do wojsk Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, Specjalnego Nadbałtyckiego, Specjalnego Zachodniego, Specjalnego Kijowskiego i Odeskiego o tym, że 22-23 czerwca przewidywana jest raptowna napaść niemieckiego wermachtu. O, ta najkrótsza noc w roku, najkrótsze sny, najkrótsze objęcia! I już warczą motory pod Przemyślem, i jeszcze słodko śpią przyszłe wdowy i sieroty, a już feldmarszałek von Brauchitsch spogląda na zegarek, i jeszcze ostatni pociąg z naszą ropą przecina granicę, dudniąc na stykach szyn — uśmiechają się niemieccy kolejarze, i już pierwsze gorące łuski spadają do Bugu, i już urzędnicy służb bezpieczeństwa uzgadniają rozmieszczenie przyszłych obozów koncentracyjnych. I jeszcze poranna mgła unosi się nad rozspanym Jaropolem, mury zamku Potockiego rysują się niebiesko w upojnym powietrzu 1941



roku, gospodynie na peryferiach miasta zaczynają doje-
nie krów, białe mleczne promienie ciurkają w nowych
wiadrach, paruje mleko, zagęszczają się w nim wesołe
bąbelki, gnuśnie oddycha leniwa piana, wypełniając po-
woli blaszany stożek.

Jeszcze nie zdążył się na dobre ocknąć Mykoła Sydo-
rowycz, jeszcze nie roztajał na jego wargach smak po-
całunków młodej jaropolanki, jeszcze nie zdążyły się do-
palić samochodowe warsztaty remontowe, a już Ja-
ropol wypełnił się zgrzytem samochodów pancernych, po
garbatych uliczkach miasta zaczęły się uwijać zakurzone
motocykle. I oto już pojawiła się gazetka — „Wolne
słowo jaropolskie“ — na żółtym papierze, który służył
w miejskim dziale komunalnym do potrzeb toaletowych;
oto już ogłoszono w całym mieście: „Wszyscy Żydzi m.
Jaropola mają zebrać się na Podzamczu“; oto już wy-
wołuje Mykołę Sydorowicza ów typek, który w rudym
kapeluszu przyjeżdżał tu z niemieckiej ambasady w
Moskwie. Tylko teraz ma na sobie ów człowieczek nie
rudy kapelusz i nie pasiaste spodnie, lecz czarny mun-
dur, srebrne naramienniki, i teraz tenże typek nie wy-
gląda jak cywilna fajtlapa, chociaż zachowuje się uprzej-
mie, proponuje papierosy, pyta o zdrowie żony i dzieci,
w zamyśleniu stuka palcami po srebrnej papierośnicy,
na której wygrawerowano rosyjską trójkę — bajkowe
konie mkną po mroźnej powierzchni papierośnicy, szron
wybiela ich szlak, szron czuje się w głosie człowieczka
w czarnym mundurze: o; pan profesor powinien wiedzieć,
jak wysoko ceni niemiecka władza jego zasługi wobec
światowej nauki, epizod z kanclerzem Hindenburgiem
został już zapomniany, zresztą tam — spojrzenie w za-
dumie zatrzymuje się na otwartym oknie, skąd czuć jesz-
cze smród spalonego smaru z warsztatów samocho-
dowych — tam rozumieją, że pan profesor Chołodny
odmówił nie z własnej inicjatywy; zresztą jest przecież
ofiarą bolszewickiego terroru, o czym świadczy jego

uwieżenie w 1934 roku. Były pracownik ambasady uśmiecha się przyjaźnie, nie jest już teraz podobny do bagnetu — ludzki, szczerzy uśmiech i zażenowanie, kiedy poprawia na lewym rękawie czerwoną opaskę ze swastyką. Wyrafinowany oberleutnant ze słowiańskim nazwiskiem Kabatchek podaje kawę, lekka i niewymuszona rozmowa toczy się dalej jak dziecięca kolorowa piłka: teraz, kiedy zwycięskie armie grupy „Centrum“ maszerują w głąb Rosji, a szala wagi historii przechyliła się na stronę niemieckiego geniuszu, profesor Chołodny ma jedyną w życiu szansę zrobienia błyskotliwej kariery. Jego życie, jego imię, jego autorytet w kołach naukowych zaśnieją jeszcze czystszy światłem, kiedy zrozumie historyczną konieczność oddania swojego talentu na służbę wielkiej idei europejskiego renesansu pod przewodnictwem wielkiej, niezwykłej, narodowo-socjalistycznej partii robotniczej. Zresztą od profesora Chołodnego oczekuje się tylko niewielkiej usługi, pewnego formalnego gestu, zrobienia arcyciekawego naukowego eksperymentu, który nie zabierze zbyt wiele czasu, a w ostatecznym rachunku przyczyni się do jeszcze intensywniejszego rozwoju ludzkości.

Obmierzanie czaszek.

Studium porównawczo-antropologiczne, które przekonująco udowodniałoby intelektualno-duchową wyższość pewnego narodu (rzecz jasna, że profesor Chołodny należy do południowego odłamu rasy nordyckiej, o czym świadczą jego dane zewnętrzne oraz jego rodowód, w którym nie na darmo wspomina się o porcelanowej Niemce, córce hamburskiego kupca, którą nie wiadomo jakie wiatry przygnały na dwór jaśnie wielmożnego hetmana, marszałka polnego Kyrły Rozumowskiego, gdzie wyszła za mąż za sotnika Chołodnego). Niemieckie Ministerstwo do spraw Wschodu, jego wydział polityczny użyczy profesorowi Chołodnemu potrzebnej do badań liczby czaszek: będą to arbuzokształtne słowiańskie

czaszki komisarzy, azjatyckie, mongolskie głowy politruków, zwyrodniałe czaszki żydowskich komunistek.

To wszystko.

Baaaczność! Oberleutnant Kabatchek stuka obcasami, nachyla jasnoblonde głowę z idealnym przedziałkiem, odpowiedź jutro o godzinie 14-tej czasu środkowoeuropejskiego. Miękki uścisk dłoni człowieka w czarnym mundurze — jakby się trzymało w dłoni wystygły serdelek.

Tak to było, dobrzy ludzie, niegdyś w Jaropolu: tam, gdzie teraz znajduje się dom towarowy „Zwycięstwo”, gdzie mieści się kawiarnia „Marzenie” — gdzie stoi beczka, a wokół niej chłopcy żłopią piwsko i gadają o piłce nożnej, był wielki plac. I wyobraźcie sobie, że wchodzić na ten plac, dopiero co zaczyna się babie lato, słońce, szkarłat liści, spiekota. Bohunka przejrzysta i pełna mielizn, a na placu nowiutkie rusztowania, jakby ktoś wznosił szubienicę. Ale to nie szubienica, szubienice zjawią się potem, to wielka rama do portretu Hitlera. A portret jeszcze leży na bruku, właściwie nie jest to portret, lecz kolorowe, wydrukowane w Dreźnie w ogromnym nakładzie fragmenty portretu, które trzeba ułożyć razem według specjalnego szyfru, aby podbici tubylcy nie pomylili prawego i lewego ucha Führera. Jego rude wąsiki przypominające rozdeptanego karalucha leżą osobno koło nóg wartownika, który zrzuciwszy zapoconą bluzę gra na organkach. Profesor Chłodny przechodzi powoli przez plac, patrzy, jak kilku naszych jeńców wojennych zbija siekierkami ogromną sześciometrową ramę i trybunę, przed którą jutro odbędzie się pochód. O mało nie nadeptuje na napis, który ma ozdobić portret u dołu:

«HITLER — WYZWOLICIEL UKRAINY»

I w tym momencie z jakiejś bramy wybiega nagle chłopiec w wyblakłej sportowej koszulce, podbiega łobuz

do rozłożonych na placu papierów, chwyta jeden z fragmentów — ten, na którym namalowano groźne oko wodza i ucieka na złamanie karku. Wartownik poczuł jakiś szelest za plecami, ogląda się ze zdziwieniem, ale chłopiec już schował się w drzwiach kamienicy. Niemiec w zakłopotaniu drepce w miejscu, potem wypuszcza salwę z automatu — z budynku sypie się szary pył. Niemiec bezradnie miota się tam i z powrotem i bluzga najstraszniejszymi przekleństwami Saksonii, lecz nadaremnie. Chłopiec, a razem z nim wszechwidzące oko Führera znikają bezpowrotnie.

Profesor Chołodny przychodzi w zadumie do katedry — szklana pustka, zjadliwy zapach formaliny, najcenniejsze eksponaty powędrowały do Baszkirii, brud i cisza w lokalu katedry. Profesor wyciąga arkusz kreślarskiego papieru i długo, w skupieniu maluje figę. Najpierw maluje — malusieńką, cherlawą i anemiczną figę i krzywo pisze pod nią „*ficum germanicum*”, co w przekładzie oznacza „figa niemiecka”. Potem starannie wymalowuje ogromną, ciężką, wielgachną figę wyglądającą tak, jakby łyknęła ździebko samogonu, oszołomiło ją i jest teraz podobna do ogromnej maczugi — nieubłaganej i groźnej — i pisze pod nią swoim twardym profesorskim charakterem pisma „*ficum slovenicum*” — czyli „figa słowiańska”. Swoje dzieło Mykoła Sydorowycz upiększa ogólnym napisem: „Porównywalne dane antropologiczne genety figi nordyckiej i słowiańskiej”, robi duży pakiet, chowa w nim swój obrazek i pisze na pakiecie adres i nazwisko człowieka w czarnym mundurze. Oddaje pakiet starej sprzątacze ciotce Paszy, wyjaśnia, komu ma go odnieść, wyciąga z szafy dwie wielkie butle czystego spirytusu i śpieszy na peryferie Jaropola do zacisznego pokoju, do swojej słodkiej znajomej, ponieważ żonę i dwóch synów udało mu się ewakuować i teraz jest już naprawdę samotny, naprawdę.

A rankiem, kiedy dziewczyna jeszcze śpi przytulona do

niego, ktoś łomce w drzwi. Dziewczyna zrywa się, podbiega do drzwi, naga, bezwstydną i piękna, jak tylko może być dziewczyna o wschodzie słońca, i pyta: kto tam? W odpowiedzi rozlega się seria z automatu i dziewczyna chwytą się za brzuch i przysiąda, a drzwi usiane są dziurkami, jakby ktoś w żartach obryzgał je czarnym tuszem; Mykoła Sydorowycz podbiega do dziewczyny i przytula ją do siebie — jeszcze żyje, ale jej puls już zamiera, słycać chrapliwe klekotanie i krztusi się własną krwią. Profesor dostrzega raptowne rozszerzenie i bez tego czarnych źrenic i ostatnie ruchy nóg, jakby dziewczyna kończyła tańczyć czeczotkę. Obejmuje jej głowę, ale dziewczyna odeszła już daleko od niego — czuje, jak po jej czasce zbiega gorący czerwony strumyczek. Stare lustro błyszczący na podłodze zielonymi ostrymi odłamkami, na kwiecistych kilimach naprzeciw drzwi profesor dostrzega dziurki, gitara dzwoni miedzianym włosiem, już i same drzwi wywalono kolbami, ręka dziewczyny ze stukiem upada na podłogę... Gdy nadchodzi dla dwojga rozłąka, to biorą się za ręce...

Rozumiecie państwo, to było bardzo dawno, za czasów Wielkiej Wojny, kiedy na świecie zjawilo się aż nadto obozów koncentracyjnych — niezliczona ilość Oświęcimów, Birkenau, Buchenwaldów, Dachau, Treblinek — dla wielu z państwa nazwy te brzmią jak Termopile lub Kartagina: rdzawe ruiny krematoriów jak wykopaliska legendarnej Atlantydy, którą pochłoniął czas i ocean. Do jednego z tych obozów trafił profesor Mykoła Chołodny, w jakimś składzie pozostały jego wyszywane kwiaty, zegarek trafił do specjalnego bunkra, gdzie miliony zegarków odstukiwały czas serbski, francuski, polski, rosyjski — prawdziwa Liga Podbitych Zegarów. Ubrano profesora Chołodnego w pasiastą kurtkę, dano mu łom do ręki — marsz-marsz, profesorze! Rzucono go do śmierdzącego boksu w bloku nr 12 na brudną słomę obok szarego nordyckiego inteligenta w pasiaku. Siwe

skronie, rogowe okulary. Poznajcie się: doktor filozofii Gerhard Stülpnagel.

To wielki znawca Ukrainy — jego ojciec był administratorem cukrowni na Winnicyźnie. Pan Gerhard Stülpnagel do ostatniej chwili pracował w poważnej instytucji — „Zentralstelle Ost-Europa“ mieszczącej się w Berlinie, Kurfürstrasse 58. Pan Gerhard Stülpnagel układa na noc swoje pasiaste spodnie pod słomianym posłaniem, aby się choć trochę wyprasowały, zanim ich właściciel zjawi się na placu apelowym przed raportführerem. Pan Gerhard Stülpnagel był niezrównanym współpracownikiem sekcji ukraińskiej; orientował się w śmieńczeniu w ukraińskim bagienku emigracyjnym, w tych wszystkich osiemdziesięciu dwóch partiach politycznych. W jego kartotece znajdowały się wiadomości o wszystkich politycznych ladacznicach i eunuchach rozrzuconych w dwudziestu trzech europejskich burdelach. O, niezrównana kortoteko, biblio naszego czasu, doskonały systemie donosów, plotek, intymnej informacji, lśniących fotografii! O, wielki cudzie XX stulecia — systemie papierków, do których ludzie są jak owady przyszpileni na zawsze, na wieki. Ale pan Gerhard Stülpnagel popełnił wielki błąd. Pewnego razu przy kolejnej kontroli wykryto u niego PSM. Spyta-cie państwo, co to jest PSM? Pewna Samodzielna Myśl, nie przewidziana i nie zatwierdzona przez Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy — oto czym jest PSM. Jej obecność wystarczyła, aby dać kopniaka owemu szarakowi inteligentowi. Marsz-marsz, doktorze filozofii! Reflektory na wieżach oświetlą ci drogę, prąd wysokiego napięcia ukaże ci kierunek, idź zatem do swego wzniesłego celu — do owego czerwonego krematorium, do zakopconego komina, przez który wylecisz do nieba, niskiego, bezlitosnego nieba i staniesz się chmurą, doktorze filozofii Gerhardzie Stülpnagel! A na razie pracuj, bierz łom i pracuj, świński ryju, w imię tego imperium, które tworzyłeś, ścierwo, jako jeden z pierwszych członków

NSDAP, plugawcze, uczestniku puczu w Monachium, wszak tyś zakładał to państwo, teraz je jedz, żryj, lękaj to gównu, paskudo, otrzymuj swoją porcję uderzeń gumową pałką po głowie, to wspomaga złożone procesy myślenia, błotny żołnierzu, Gerhardzie Stülpnagel!

Razem z Chołodnym dziobali łomem zmarzłą ziemię. Szczekały we mgle owczarki, wartownicy grzali się koło ognisk, a oni wgrzali się w głąb zamarzłej ziemi, rzucali lodowate grudy na nosze i nieśli je ze dwieście metrów dalej, gdzie zsypywali tę ziemię do wąwozu. Ryli tę studnię rok, drugi, trzeci, aż głowa Mykoły Sydorowycza pokryła się siwym mchem, a z ciała nie zostało prawie nic. Zrobił się podobny do tych anatomicznych preparatów, które ozdabiały niegdyś jego katedrę. Doktor filozofii Gerhard Stülpnagel też utracił mniej więcej siedemdziesiąt procent wagi i żwawości i teraz już nie prasował spodni pod słomą posłania, bo jego wyschłe jak zeszłoroczne badyle ciało nie było w stanie pozostawić na pasiastym płótnie nawet najmniejszej zmarszczki czy fałdy.

I oto teraz zaczyna się to, co najważniejsze, w imię czego snuję tę opowieść. Pewnego dnia Chołodny i Stülpnagel skuliwszy się odpoczywali na dnie swojego tunelu. Gdzieś daleko w górze wyła zawierucha, śnieg wirował nad otworem tunelu, wartownicy na górze smarowali swoje automaty specjalnym smarem, aby nawet podczas takiego mrozu były w stanie strzelać, a nasi profesoria kurzyli jeden niedopałek na dwóch, usiłując rozgrzać się od wewnątrz ciepłem smugi tytoniowego dymu.

Wtedy to Mykoła Chołodny podzielił się z doktorem filozofii swoją tajemnicą. Profesor zaczął od niedługiej przedmowy, w której zaznaczył, że całe życie był materialistą z przekonania i że obce mu są teologiczne poszukiwania jakichś transcendentálnych systemów, i że mechanika wszechświata zbudowana jest na jasnych zasadach percepcji racjonalistycznej i możliwość jej zba-

dania stanowiła dla niego nienaruszalny aksjomat — na owych jasnych, oświetlonych ludzkim rozumem filarach trzymały się niebo, ziemia, ocean i biosfera. I nie było metafizycznych tajemnic dla ciekawego badacza; ściślej mówiąc, tajemnice, oczywiście, były, ale nie wykraczały poza obręb ludzkiego rozumowania i nie tonęły w mglistościach agnostyki. Wszystko podlegało pewnym zasadom gry, fair play i wszystko odbywało się odpowiednio do żelaznych wymogów determinizmu. Ale teraz profesor Chołodny odczuł raptem, że świat jakby się przechylił na bok, w przyrodzie zjawiała się wielka anomalia, zaszła jakaś katastrofa energetyczna i jeżeli jego hipoteza okaże się słuszna, to będzie to odkrycie o wiele większej wagi niż triumfalne odkrycie Rutherforda i Einsteina. Tutaj profesor wyciągnął zza pazuchy kawałek papieru popstrzony matematycznymi wyliczeniami i pokazał go Stülpnaglowi: wyliczenia niedwuznacznie i obiektywnie zaświadczały, że on, więzień bloku nr 12, otrzymuje każdej doby litr ciepłej zawiesiny, zwanej zupą, 300 gramów ersatz-chleba, 15 gramów margaryny i 200 gramów śmierdzącej kawy, co razem stanowi 900 kalorii, a tymczasem praca w tunelu zabiera mu średnio 3000 kalorii. Co więc z tego wynika?

Pan Gerhard Stülpnagel, wykorzystując tak długie przemówienie swojego kolegi, wypalił do końca niedopałek, parząc sobie wargi. Skąpą resztkę tytoniu starannie przeżuł, a gorzką brunatną ślinę przełknął. Potem uszczypnął się w rękę, uszczypnął się boleśnie — takiego nabrał przyzwyczajenia, by się szczypać w rękę — a nuż się obudzi? Nie obudził się. Szara fałda skóry na ręce zastygła jak groteskowy grzebień, bo żyły doktora filozofii Stülpnagla były prawie próżne — zbyt mało pozostało w jego ciele czerwonych ciałek krwi. Miał wrażenie nawet, że został zrobiony ze zmurszałej słomy — łamliwy i próżny, zamarza powoli w tej przeklętej jamie, skąd już nie ma wyjścia.

Co więc z tego wynika? Skąd bierze się 2100 kalorii brakujących do zbilansowania energetycznych potrzeb organizmu więźnia nr 48 722? Skąd, panowie? Kosztem wewnętrznych zapasów? Wybaczcie, panowie. Wybitny specjalista w dziedzinie anatomii i filozofii profesor Chołodny wie dobrze, że od roku w jego wyschłym ciele nie ma żadnych białkowych czy tłuszczowych rezerw. Skąd zatem bierze się, panowie, 2100 kalorii?

Tak oto profesor Chołodny, zawzięty ateista, materialista, wielki i wspaniały eksperymentator, człowiek chępliwy, niezależny, który nigdy i niczego się nie bał, nieoczekiwanie styka się z jedną z największych tajemnic żywej przyrody i wysuwa przed racjonalnym spojrzeniem doktora filozofii Gerharda Stülpnagla hipotezę Boga. A tak, panowie, naukową hipotezę istnienia Boga. Nazywajcie to panowie Bogiem albo Nadludzką Duchową Siłą, nazywajcie, jak wam się żywnie podoba, ale jaka niematerialna istota daje mi owe 2100 kalorii, dzięki którym jeszcze oddycham, panowie, jeszcze wychodzę na bagnisty plac, stoję na deszczu, piję tę niebiańską wodę z posmakiem milionów istnień ludzkich, mogę nawet jeszcze biec, kiedy kapo maltretuje mnie podkutym buciorrem, jeszcze wyciągam na górę zmarzłą ziemię i mój mięsień sercowy jeszcze pracuje, kiedy wgrzdam się łomem w grunt. Skąd bierze się owe przekłete 2100 kalorii? Jestem materialistą i jako materialista rozumiem, że moje istnienie według wszelkich biologicznych praw powinno się urwać już rok temu, ale przecież żyję, panowie! Niech pan słucha, panie Gerhardzie, przepelnia mnie dziwne uczucie — zdaje mi się, że jestem ostatnim Ukraińcem na ziemi, że jestem ostatnim przedstawicielem swojego narodu na świecie, że już nie ma i nie będzie Jaropola, Bohunki, naszych pieśni, że jest tylko ten zaśnieżony kraj, ogrodzony drutem kolczastym, ponure wieże wartownicze, karabiny maszynowe, przekleństwa blokführerów i że powinienem żyć, ponieważ w innym

przypadku zginie mój naród, wyleci przez komin, wiatr go rozsieje z popiołem tak, że nawet wspomnienie po nim nie zostanie. Oczywiście rozumiem, że to wszystko przywidzenie, maligna, że Jaropol żyje i Bohunka płynie nadal, że mój naród będzie żył, że nasze wojsko bije się na rubieży życia i śmierci i że my was zwyciężymy, zwyciężymy, czy pan rozumie, panie doktorze, ale nie potrafię wyrzec się swojej *idée fixe*, jakbym rzeczywiście był ostatnim Ukraińcem odpowiadającym wobec historii za zachowanie swojego narodu i dlatego muszę przeżyć, słyszy pan? Muszę! Ale nie wiem, skąd biorą się te 2100 kalorii, kto mi je daje, jaki Bóg, jaki energetyczny cud?

Wówczas zaczyna mówić doktor filozofii pan Gerhard Stülpnagel. Jego słowa wbijają się w mroźne powietrze jak kilof: on się nie zna na tych wszystkich energetycznych obliczeniach i jako prawdziwy katolik wierzy, że Bóg istnieje, a więc pan profesor Chołodny nic nowego mu nie odkrył, mimo że dziwne kaloryczne funkcje przypisuje on Bogu, podejrzenie dziwne. Ale Gerharda Stülpnagla zasmuca bardzo i drażni inny aspekt rozważań profesora, a mianowicie radość z chwilowych niepowodzeń niemieckiego oręża. On, Gerhard Stülpnagel, jako szczerzy patriota swojej wielkiej ojczyzny, życzy swojej armii zwycięstwa, jedynie zwycięstwa; wojska niemieckie muszą za wszelką cenę powstrzymać wschodni napór. Chodzi tu zresztą nie o maleńkie, mikroskopijne, jednostkowe istnienie doktora filozofii z Heidelbergu, lecz o zwycięstwo wielkiej idei, której doktor poświęcił całe życie, dla której, jeżeli trzeba będzie, jest gotów umrzeć tu, w tym paskudztwie, aby tylko doniosła idea państwowa utrwaliła się na tamtych dzikich wschodnich przestrzeniach. Tak, on, Gerhard Stülpnagel, jest zagozłym nazistą: fakt, że poniewiera się tutaj, w tym psim łajnie, jest przykrym nieporozumieniem, następstwem perfidnych intryg. On, Gerhard Stülpnagel, może wyrazić

jedynie ubolewanie, że nie pracuje obecnie na zdobytych terytoriach w imię nieśmiertelnej germańskiej idei.

Tutaj twarz doktora filozofii pokrywa się jeszcze mocniejszymi plamami, zdejmuje błazeńską pasiastą czapkę i gdyby było jaśniej w tym lodowatym studziennym tunelu, może profesor Chołodny zauważyłby niewielki rumieniec na nordyckich policzkach Stülpnagla.

— Ukraina! — pokrzykuje Stülpnagel potrząsając wyschniętymi kułakami. — Komu w Europie potrzebna wasza spasiona służąca głodnych panów, wasza bzdurna, etniczna grupa, która ubóstwia sadło i rodzi wspaniałych podoficerów? Jedynym ratunkiem dla was, Ukraińców, jest przyłączenie się do silnego narodu, do nas, Niemców. Damy wam język zamiast waszego prymitywnego żargonu — najpiękniejszy język na świecie. Bo przecież na wasz żargon nie można nawet przełożyć Hegla i Kanta. My wybierzemy najzdolniejsze wasze dzieci na nasze uniwersytety i zrobimy z nich prawdziwych intelektualistów, niemieckich myślicieli, nauczymy was, jak trzeba gospodarzyć na waszych ziemiach, damy swoje dzieci do waszego przemysłu, wytopimy z waszej ukraińskiej rudy najmocniejszą niemiecką stal. A wszystkich słabych, cherlawych, chorych, całe to śmiecie waszej etnicznej grupy zniszczymy, spalimy, podobnie jak zniweczymy wszystkie zbrodnico-romantyczne elementy, które ośmielą się przeciwstawić swoje wąskie, egoistyczno-awanturnicze cele ideałom naszego wielkiego imperium. Wszelako każdy, kto ma olej w głowie, uświadomi sobie, że tylko w jedności z nami możecie uratować się od ostatecznej zagłady: niechże pan, panie profesorze, nie zapomina, że na głodnych terenach azjatyckich narasta niebezpieczeństwo, nowi Czyngis-chanowie rzucają krwawe spojrzenia w waszą stronę, a uratować was od tej dżumy, od tej powodzi jesteście zdolni tylko my, nasza potęga, nasz oręż. Dlatego też, panie profesorze, radzę panu, aby pan zapomniał o pańskiej Ukrainie, jest pan

przecież mądrym człowiekiem. Niech pan wyrzuci z głowy te sentymentalne rupiecie, niech pan lepiej myśli o naszym imperium, o naszej wspólnej przyszłości...

Tu doktor filozofii zakrzuszył się, przycisnął swoje przeźrażliwie chude ręce do piersi, zaniósł się kaszlem jak dziecko chore na koklusz i nareszcie wypluł na dłoń plwocinę pełną czerwonych ciałek krwi, swój ostateczny argument na korzyść wielkiego imperium. Z góry słychać było przekleństwa wartowników, gdzieś tam zadudniła, załomotała pod samym niebem szyna, jakby miał się zacząć Sąd Ostateczny. Trzeba było wychodzić na górę, kończył się jeszcze jeden dzień obozowej egzystencji. Doktor filozofii oklapł całkowicie, złożył nogi jak pasikonik, usiadł skulony na dnie lochu i zmrużył przejrzyste jak bibułka powieki, dysząc ze zmęczenia tak, jakby dostał się nagle na wielką wysokość w stratosferze.

Trzeba było wychodzić na powierzchnię.

Profesor Chołodny potrząsnął za ramiona Stülpnagla, uprzytamniając mu, że trzeba iść, że tam, było nie było, jest pryzca i gorąca kawa, ale doktor popatrzył nieprzytomnie na Chołodnego i znów zamknął oczy. Wtedy profesor wyjął zza pazuchy ciepły kawałek chleba podarowany mu przez znajomego sanitariusza z Galicji: był to żelazny zapas profesora, chleb na czarną godzinę, na złe czasy — jak gdyby mogły być jeszcze gorsze — i dał ten żytni porowaty kawałek Stülpnaglowi. Ten złapał chciwie chleb i zaczął go żuć popuchniętymi dziąsłami.

Znów słychać było przekleństwa straży, której zbrzydło czekanie na „muzułmanów“ z ósmej jamy, gdzie rychło miano zrzucić kilka ton popiołu.

Stülpnagel podniósł się ostatkiem sił, ale nie był zdolny do niczego więcej. Mykoła Sydorowycz założył sobie jego kościstą rękę na szyję, objął go w pól i pociągnął do góry. Wspinali się po śliskich schodkach z ciemności, z podziemnego, zgniłego świata w górę. Stülpnagel do-

jadał chleb, dławił się przelykając niezdarnie kwaśny komiśniak, a profesor oblewając się zimnym potem, klnąc jak ostatni jaropolski hycel, uparcie piął się w górę. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy poczuł lodowaty podmuch zawieruchy kręcącej się jak bąk między słupami, huczącej w drucie kolczastym, tańczącej oszalały monotonny taniec koło ciepłych krematoriów, zbijającej więźniów z nóg. Stülpnagel wisiał ledwie żywy na szyi Chołodnego. Potem powlekli się we dwóch w stronę, gdzie stał milczący szereg więźniów. Tam to usłyszeli owo najstraszniejsze słowo, które zabrzmiało delikatnie jak ciche brzęczenie lutni.

SELEKCJA.

Tak, moi mili czytelnicy, zaczynała się selekcja i zaraz zrozumiecie, co to takiego. Świeciły reflektory, stał na placu lekarz obozowy, doktor Bolm, obok rozkraczony raportführer Haus, a z nim kilku esesmanów. Koło nich pojedynczo przechodzili więźniowie. Wypielegnowany palec doktora Bolma wskazywał im drogę: na prawo czy na lewo, jeszcze kilka zbędnych dni egzystencji albo porcja cyklonu natychmiast, już zaraz.

Chołodny włókł się zrezygnowanym krokiem, miał pustkę w sercu. Wspominał swoją słodką dziewczynę i swoje dzieci, i żonę wspominał, i jeszcze kilkoro dziewcząt, ale czynił to tak, jakby ich nie znał, lecz tylko czytał o nich, i nienawiść biła mu z oczu. Wiedział, że zaraz nastąpi koniec, i złościło go to jedynie, że odegrają z nim ich ulubioną komedię: dadzą mydło, papierowy ręcznik, zapędzą do gazowej celi, gdzie na kurkach widnieją pedantyczne napisy: „zimna woda“, „gorąca woda“. Nawet zrobił już krok na lewo, ale palec doktora Bolma podniósł się z przestrogą i wskazał na tłum ludzi stojących bliżej baraków.

I w tym momencie profesor Chołodny usłyszał rozpaczliwy krzyk za plecami: doktorowi filozofii Gerhardowi Stülpnaglowi los zgotował inną drogę. Oberwała się

nitka jego żywota gdzieś na niebiosach, a nieubłagany palec doktora Bolma wskazywał na lewo, tam gdzie drżały jakieś postacie w pasiastych kurtkach.

— Heil Hitler! — wykrzyknął Gerhard Stülpnagel, ale raportführer Haus nie lubił żartów, więc smagnął doktora filozofii batogiem pozostawiając na jego nordyckim ciele ostatni ślad — krwawą pręgę przecinającą na ukos ostrą linię kręgosłupa. Postanowiono nie marnować na doktora cyklonu i pociągnięto go wprost do krematorium, gdzie pyzaci więźniowie z Sonderkommando położyli Stülpnagla na żelaznym wagoniku i powoli zaczęli pchać pojazd ku płonącemu otworowi pieca. Huczał płomień, przeraźliwie zgrzytały kółka wagonika, ale przez cały ten harmider przedarł się patriotyczny okrzyk doktora filozofii: „Heil Hitler!“ To wydało się grabarzom z Sonderkommando bardzo zabawne i rechotali widząc, jak podnosi się w rzymskim przywitaniu ręka pana Stülpnagla. Co prawda, kiedy wagonik wjeżdżał już do bramy piekła, uniesiona ręka doktora Stülpnagla stała się zawadką, bo otwór pieca był za mały — nie mogli przecież przewidzieć inżynierowie projektujący owo urządzenie, że ktoś zechce wjechać do tego ciepłego miejsca z wyciągniętą ręką i okrzykiem „Heil Hitler!“. Wtedy jeden z Sonderkommanda nacisnął dźwignię wagonika i cherlawą ręką byłego współpracownika „Zentralstelle Ost-Europa“ opadła, aby się już nigdy nie podnieść, a potem i chude nogi zniknęły w otworze pieca. Ciężkie żeliwne drzwi zamknęły się za nim na zawsze.

Potem przyszła wiosna — taka wiosna bywa raz na sto lat: szczęśliwe gołębie gruchały na dachach krematoriów, trawa przerastała warstwę popiołu, rzeki zapęłniały się wodą, brudna kora, zardzewiałe blaszane puszki, kanistry, słupy telegraficzne, archiwalne papierzyska — wszystko to popłynęło do ujścia rzek zachłystujących się od powodzi, bo było to święto oczyszczenia ziemi. Drogi popodsychały trochę, ale rola była jeszcze

grząska — nie, nie świeża rola, lecz resztki przedwojennej agrarnej cywilizacji — blade ślady oziminy. Nad ziemią unosił się trwożny duszny zapach jak przerywany oddech młodej kobiety, która kilka lat nie doznawała pieśzcot i nareszcie doczekała się ich. Słońce piekło niemilosierdzie, murszały podkładki hełmów, żołnierze porzypinali bluzy, zabłocone ciężarówky buksowały w kałużach, nad siwymi szczytami Tatr warczały pikujące bombowce. Czy wiecie, czym jest armia, która po tylu porażkach dorwała się do zwycięstwa? Nie, ponieważ urodziliście się później i nie zrozumiecie tego, nie wiecie, co znaczą porażki i wycofywanie się i co znaczy zobaczyć nareszcie białe flagi przeciwnika, co znaczy wkroczyć nareszcie na ziemię wroga. Armia jazgotem swoich motorów przestraszyła zaciszne mieszczkańskie uliczki pruskich miasteczek, armia dostrzegła nareszcie konkretne zarysy zwycięstwa, którego można było już dotknąć palcami. Oto leży powalony na ziemię kaiser ze spżu, a jakiś sierżant z zakładu remontu czołgów przyszedł z palnikiem i odpiłował imperatorski nos na pamiątkę, na wspomnienie owej wiosny.

I oto pewnego dnia czołgi stanęły naprzeciw żelaznej bramy, za którą zaczynał się obóz koncentracyjny. Martwe pole spotkało czołgistów, szara zastygła lawa, kości i stawy, zamiast trawy — włosy, co leniwie poruszały się przy podmuchach ciepłego wiatru, pole bez granic niby popękana i pomięta alabastrowa masa, szary, brudny alabaster. I raptem gdzieś daleko na tym polu uniosła się jakaś postać i upadając powlokła się ku czołgom. Nad czołgami unosiły się benzynowe wyziewy. Nad polem zapadła martwa cisza, tylko w czołgu dowódcy radiotelegrafista powtarzał uporczywie, monotennie, obojętnie: „Tu «Wiosna», tu «Wiosna», tu «Wiosna»... Odbiór, odbiór, odbiór...” Człowiek człapał po polu, potykał się, znów się podnosił i szedł dalej, tam, gdzie zło-

żyły swoje skrzydła żelazne orły imperium, gdzie gotycki napis ponuro uprzedzał:

KAŻDEMU — CO JEGO.

Był to Mykoła Chołodny...

Zapytacie państwo: a cóż było dalej i jaka nadludzka siła utrzymała profesora przy życiu w obozie koncentracyjnym?

W roku 1975 profesor Chołodny, który przekroczył już osiemdziesiątkę, otrzymał Nagrodę Nobla za odkrycie ukrytej wagi ciała ludzkiego. Odkrycie to zrodziło nadzieję milionów głodnych ludzi na całym świecie. Czy rozumiecie państwo? Rzecz polega na tym, że w powietrzu znajduje się 75% obojętnego azotu — składnika, z którego można budować białko. Dotychczas nie umiano wykorzystywać tego składnika nieodzownego dla życia. A kiedy państwu opowiem o tym, to od razu zrozumiecie, skąd brały się owe mistyczne 2100 kalorii, które nie dały umrzeć profesorowi Chołodnemu. Profesor udowodnił za pomocą bezbłędnie przeprowadzonych eksperymentów i skomplikowanych biochemicznych badań, że w stanie najwyższego emocjonalnego napięcia człowiek jest zdolny spożytkować ów obojętny azot z powietrza i przetwarzać go na białko. A następnie Chołodny przebadał cały proces syntezy białka z powietrza i powtórzył go w skali przemysłowej. Dzięki temu odkryciu problem głodu na ziemi znika z horyzontu XX stulecia. Oto skąd wzięły się czerwone przewody gazowe i planetarne aluminiowe cysterny stojące teraz nad brzegiem Bohunki. To pierwszy na świecie przemysłowy zakład wytwarzający syntetyczne białko z powietrza.

Rozdział piąty,
w którym autor, wpadając w nastrój sentymentalny, przypomina zapomnianą historię pociągu Paryż—
—Jaropol, a jednocześnie bada historię miłości od pierwszego wejrzenia w aspekcie międzynarodowym, relacjonując przede wszystkim wzruszające dzieje współczesnych mu Romea i Julii.

Godzinami słucham tej pieśni, która rozpoczyna się od pukania ludzkiego serca: pociąg na dalekim przejeździe, nocny dworzec jak żelazny ptak, pusty, napełniony zapachem trzciny, tanich perfum; bicie serca i niezrozumiałe francuskie słowa, delikatne niby szelest wiatru wśród kwiatów; może te słowa są trywialne, ale nieznanne i dlatego tajemnicze, a coś nieznanego nigdy nie bywa trywialne; wyczuwam posmak nocnej tajemnicy. pobłyskują czerwono szyny i wśród tej ciszy czyjeś serce wystukuje rytm przedziwnej pieśni. Zawsze, kiedy słucham tej pieśni, wspominam Yvonne, jej daleką ostatnią podróż do Jaropola...

Ach, proszę mi wybaczyć, państwo czekacie może na opowieść o Paryżu, o Placu Gwiazdy, o wystawach paryskich sklepów — chciecie zobaczyć przesyconą smołą łódź (reklamę pereł) na wystawie ogromnego sklepu na Polach Elizejskich, poczuć zapach morza, atmosferę tanich pensjonatów Normandii, dziwnych paryskich tramwajów z drzwiami z tyłu, a czasem nawet bez drzwi — takich sobie ruchomych balkoników, z łańcuszkiem zamiast drzwi. Oczekujecie na różne paryskie cuda — białe empirowe rzeźby, żeliwne kraty w stylu Ludwików na przemian z nieruchomymi buziami kawiarnianych dziewcząt, których oczy są podmalowane niebieskim ołówkiem zmęczenia i natchnionej pracy nocnej. A może oczekujecie państwo na technikę miłości? — oh, la la! — miłość pary-

ska, zwiewna jak dotyk motyla, przelotna, doprowadzona do czulego automatyzmu niby ruch dziewczyny zrzucającej z nogi czarną pończochę. A może oczekujecie gangsterskich historii, szlachetnych przestępców o twarzy Jeana Gabina i z nazwiskami markizów, a może śmiesznych szczegółików o tym, jak pełzną pod murem z cegły pułkownicy z akademii wojskowej, pozostawiający uprzednio na trawie swoje rowery. Czy państwo tego oczekujecie ode mnie?

Ale Yvonne nie jest paryżanką. Mieszka na skraju cichego miasteczka. Ma starego peugeota — latem można odsunąć dach i pędzić z szybkością 120 kilometrów, włączyć radio i słuchać wiadomości o katastrofach samochodowych, a potem muzyki tanecznej. Następnie — randka z narzeczonym, malarzem-dekoratorem oczekującym na nią w sąsiednim miasteczku przy małym koniaczku; policjanci w czarnych skórzanych kurtkach pędząc na białych motocyklach posyłają Yvonne całusy albo grożą palcem — mademoiselle, przed panią niebezpieczny fragment szosy, czy działają hamulce w pani peugeotcie, bo wczoraj na zakręcie rozbiła się tam cysterna z prowansalską oliwą i szosa jest teraz tłusta i błyszcząca niby parkiet w pałacu wersalskim, a na tym zakręcie leży już pięć aut — biały zachodniemiecki mercedes, który majestatycznie przewrócił się do góry kołami, dwa renaulty, czarny volvo i humber z czerwonymi fotelami ze skóry — własność starej angielskiej tancerki, która złamała nogę. Może spotkamy się dzisiaj o piątej wieczorem, bo wtedy kończę służbę? Dziękuję, monsieur, ale mam zbyt zazdrosnego narzeczonego: ma pistolet wodny, niebieski, z plastyku koloru mojego peugeota, zabije pana, a potem zaprowadzą go na gilotynę, a on boi się łaskotek. Nawet w łóżku, kiedy go całuję w szyję, zaczyna rechotać jak zwariowany, czy pan sobie może wyobrazić, jakie to okropne?

· Nie, wybaczcie państwo, ale opowiem lepiej o dworcu jaropolskim — to taka buda z żelbetonu wzniesiona w czasach konstruktywizmu, do której dobudowano później kilka kolumn korynckich i puszczone z wierzchu stiukowy ornament — trybiki, taśmy transmisyjne, śruby, nakrętki, kiście winogron, kolby kukurydzy, prosięta, młoty pneumatyczne — wynik fantazji twórczej artysty D. W. Smahlia, członka jaropolskiego oddziału związku artystów plastyków, jego mauretański smak. W jego duszy siedziało rozpieszczone małe dziecko, które naczytało się bajek w podartych, wyszmelcowanych okładkach. A co robią małe dzieci, kiedy naczycją się bajek? Zaczynają budować miasta: klej, nożyczki, stare numery „Niwy”, połówka lusterka na przyszłe jezioro, połamany budzik z dziwnymi trybikami. A kiedy powłoka, w której znajduje się to dziecko, podrasta, dziecko chwyta za arkusz kreślarski albo za gips. Czasem takie dzieci zostają dyrektorami fabryk czekolady i wymyślają fantastyczne torty — wówczas piszą o nich w gazetach. Ale od środka nasz dworzec jest całkiem, całkiem, tylko milicja nie pozwala spać na wypolerowanych ławkach, gdzie siedzą chłopci ze swoimi tobołami — tu kurtki i waciaki, tu ciężkie pokaszliwanie, tu zaś odór nie mytego ciała. Ktoś otwiera nożem konserwy, ktoś inny wyciąga bochenek chleba z żołnierskiego worka, ktoś inny jeszcze otwiera walizkę z dykty i wyciąga stamtąd flachę samogonu, matki usypiają dzieci, a pomiędzy tym tłumem przechadza się surowo starszy sierżant milicji, stary już i poważny wujek Kuzemko, pokazując od czasu do czasu zęby z nierdzewnej stali, które tak bardzo straszą dzieci. Wujek Kuzemko lubi, aby w jego rejonie był pełny porzundek i dlatego zerka pilnie na jaropolskich kudłaczy, którzy stoją z gitarą i niby to odprowadzają jakiegoś żołnierzyka, wszyscy mają już w czubie, więc może zamierzają naruszyć któryś z paragrafów kodeksu karnego republiki — z tymi typami trze-

ba mieć się na baczności, bo te spodnie rozszerzone u dołu z mosiężnymi guzikami do niczego dobrego nie prowadzą — wujek Kuzemko wie o tym dobrze. W komisariacie milicji wisi na ścianie kolorowy plakat o wyczynie plutonowego Nikołajewa z Czyty i na tym plakacie są takie same typy — tak samo kudłaci i w spodniach poszerzanych u dołu — jeden trzyma w ręku białą broń, a drugi — palną, pistolet TT, kaliber 7,62, osiem nabożów w magazynku. Ale chłopcy nie przekraczają granic wytyczonych przez kodeks republiki, więc wujek Kuzemko idzie do zawiadowcy stacji, swojego starego przyjaciela Semena Hryhoraszczunki wypić kieliszek jaropolskiej gorzałki. Właśnie w tej samej chwili rozlega się dzwonek — zawiadomienie niezwyklej wagi i oszałamiające: do Jaropola zbliża się specjalny pociąg z Paryża z delegacją młodzieżową.

Pociąg specjalny! Z Paryża! Mój Boże, bonżur, pardon, se la wi! Bagażowi otrzymali nowe nakrochmalone fartuchy, sztywne czapki z napisem „Jaropol“ na otoku, Kuzemko wypędza z dworca młodych jaropolskich królów rock and rolla, aby nie spaskudzili swoim wyglądem uroczystego momentu, szyny świecą czerwonym blaskiem w ciemności jak neonowe naczynia krwionośne. Przedstawiciele jaropolskich organizacji młodzieżowych stoją uroczyście z bukietami kwiatów, jak w pałacu ślubów, uświetniając swoją obecnością ową historyczną dla naszego miasta chwilę.

Pociąg specjalny z Paryża! Nawet mnie, człowieka w leciech, chwyta skurcz za serce, kiedy przypominam sobie noc, niebieskie światła nad dworcem, czyjś nosowy głos rozlegający się nad rozdzielnią, skąd zjeżdżają w mrok wagony towarowe, zgrzyty zderzaków, białe kule pary ginące w lipcowym powietrzu Jaropola; na peronie już ustawia oświetlenie operator telewizyjny Walery Orłyk — zlecono mu zrobienie reportażu z przyjazdu francuskiej delegacji młodzieżowej.

Wreszcie daleko, nad drugim brzegiem Bohunki zapaliło się małe elektryczne światełko, zabłysła nadzieja na promień, światło koncentrowało się na dalekim czarnym widnokręgu, powiększało się i robiło się ostrzejsze; do wszystkich dotarł stukot pociągu przejeżdżającego most, skąd rzucał na wodę szybkie ślady swoich świateł. Maszynista dał długi sygnał powitalny, wszyscy zaczęli mrużyć oczy oślepione ustawionymi na lokomotywie reflektorami; pociąg Paryż—Jaropol wjechał na tor pierwszy przy peronie pierwszym i orkiestra dęta zagrziała Marsylianką. Z pociągu wysypali się zwawi, uprzejmi chłopcy i dziewczęta, i starszy sierżant Kuzemko ku swemu wielkiemu zdumieniu zauważył, że chłopcy są tak samo kudłaci jak ci jaropolscy hultaje, których dopiero co pogonił, tylko schludniejsi i nie noszą guzików na nogawkach, a dziewczęta mają tak krótkie spódniczki, że omal nie obaliło to całego światopoglądu starszego sierżanta Kuzemki, chociaż ma on już swoje lata i takimi sprawami przestał się zajmować. Jeszcze bardziej zdziwił się wujek Kuzemko, kiedy usłyszał, że to przyjechali francuscy socjaliści i młodzież komunistyczna, uczestnicy manifestacji przeciwko wojnie w Wietnamie. Na trybunę weszła czarnulka w skórzanej kurtce, odchrząknęła i powiedziała, że widziała na własne oczy, jak jakiś człowiek w Waszyngtonie spalił się na znak protestu (rzecz jasna, że dowiedział się o tym Kuzemko za pośrednictwem tłumacza), jak płonął i jak fotografowali go amerykańscy reporterzy i operatorzy NBC. Ten człowiek wybrał ogień dlatego, że nie mógł i nie chciał żyć w świecie, w którym niegodziwcy robią z ludźmi, co im się podoba; wybrał śmierć dla dobra wietnamskich dzieci, aby nie spłonęły w swoich dżunglach bambusowych, bo nie można żyć spokojnie na świecie, gdzie płoną dzieci nie wiadomo w imię czego. Tę dziewczynę filmował Walery Orłyk, robił zbliżenia jej twarzy, kiedy zamyślała się i robiła przerwy — była wtedy bezbronna i samotna w obcym

noine
ryolanema



dla niej nocnym przydworcowym świecie, ale potem znów mówiła gorączkowo, z niezwykłą werwą i szybko, tak że tłumacz nie był w stanie nadążyć i przypominał niedoświadczonego nowicjusza, którego na dystansie 5000 metrów wykańcza biegacz pierwszej klasy.

To była Yvonne.

Później występowali inni mówcy, ale Walery nie filmował ich, za co oberwał tejże nocy od głównego redaktora TV, ale od momentu, kiedy ujrzał Yvonne, nie obchodziły go ani wymówki, ani zrządzenia szefa. Jeszcze wiele rzeczy przestało obchodzić Walerego Orłyka, kiedy zobaczył Yvonne; ciemny kosmyk włosów zasłaniał pół jej twarzy z lewej strony i od czasu do czasu zakładała ten kosmyk palcami za ucho; były jakieś dziwnie smutne te palce, takimi palcami trzeba by dotykać ran i maszyn elektronowych, które kierują systemem raketowym. Spojrzała na niego, na zgrabnego, młodego operatora i uśmiechnęła się. Zapragnęła nie wiedzieć czemu pogłaskać go po okrągłej słowiańskiej głowie; wyczuła ze zdumieniem, jak zmałał, skarłał jej narzeczony, jak zrobił się z niego maleńki człowieczek, który mógłby zmieścić się na jej dłoni, a później zmałał jeszcze bardziej — do rozmiaru malutkiego drewnianego wisiorka, pamiątki z Tunisu, którą nakłada do czarnej koktajlowej sukienki. Ten ludzik umiał mówić rozmaite rzeczy — o dywanach Corbusiera, o lodówce kupionej na kredyt, o kanonach sztuki staroegipskiej, o radioodbiorniku „Orion” z głośnikami stereofonicznymi, o kupnie nowego samochodu — marzył o nabyciu błękitnego mustanga — narzeczony mógł mówić o czymkolwiek, mógł szeptać Yvonne do ucha, ale już go nie słyszała, bo przysłuchiwała się innemu głosowi. Ten nieznajomy operator stał teraz obok, rzucał zdawkowe słowa — mówił nieźle po francusku — i wzruszył ją jego dziwny akcent, jego głos.

Mademoiselle... Mam na imię Yvonne. Yvonne? To piękne imię. Ja mam na imię Walery. O, Valery! Monsieur

Valery... Walery Orlyk. Orly? To takie wielkie lotnisko pod Paryżem. Gdy leciałem do Stanów Zjednoczonych... Zdaje mi się, że ta nazwa jest na cześć jakiegoś generała rosyjskiego. Generał Orly? Nie słyszałem. Może Orłow? Nie, właśnie Orly. Całkiem możliwe. Co pani robi jutro rano? Pan chce mi zaproponować spotkanie? Właśnie, dobrze mnie pani zrozumiała. We Francji umawiamy się na randki wieczorem. To nasza tradycja. Przykro mi, ale nie znam waszych tradycji. Lubię stwarzać własne. Lubię, kiedy jest jasno, lubię, aby było słońce, aby wszystko odbywało się przy świetle dziennym. Cierpię na światłomanię. A ja lubię, kiedy jest ciemno. Pani pali? Tak, dziękuję. A więc? Nie wiem. Odmawiając straci pani jedyną szansę bliższej znajomości ze mną. Dziękuję, pan ma wysokie mniemanie o sobie. Oprócz tego pokażę pani miasto. To najpiękniejsze miasto na Ukrainie. Ale my mamy program... Pani waha się, to już dobrze. Ja też mam program – chcę pokazać rzeczy, których nigdzie pani nie zobaczy. Czy wszyscy Rosjanie są tacy uparci? Ja jestem Ukraińcem, a my jesteśmy uparci. Ukraina – to brzmi romantycznie. Czytałam coś o czasach kozaczyzny. Tak, mademoiselle, wasz Beauplan pisał o nas... Podoba mi się wasza moda – damskie buty z cholewami. U nas nazywają je „kozaczkami”. A mnie podoba się Courreges. Panu podoba się Courreges? To cudownie. Wobec tego jutro włożę kostium w stylu Courregesa. Znakomicie, będzie to dla mnie podwójne święto. Wezmę kamerę i sfilmuję panią na pamiątkę. Pani mi się bardzo podoba. A pan zawsze robi zdjęcia dziewcząt, które się panu podobają? Prawie zawsze. Stać się eksponatem pańskiego archiwum filmowego... Co też pani mówi, będzie to najpiękniejszy film w moim życiu. Będę jedynym na świecie jego widzem – nikt go więcej nie obejrzy. Nigdy nie pozowałam do kamery. To nie jest takie straszne, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka. Niech pani sobie wyobrazi człowieka, który panią... O, pan jest nie tylko operatorem, ale i scenarzystą. Nie, pani się myli. Nigdy nie układam najpierw scenariuszy. Moją zasadą jest zasada nowej fali: improwizacja. Interesujące, jaką rolę będę grała w pańskim filmie. Komiczną czy tragiczną? To zależy od pani życzenia. Może to być film o miłości. O miłości

od pierwszego wejrzenia. Czy pani w to wierzy? A panu nie wydaje się, że chłopcy lubią teraz zanadto rozprawiać o miłości od pierwszego wejrzenia? A potem pchają się ze swoimi zaślinionymi pocałunkami z takim wyrazem twarzy, jakby czynili wielką łaskę, jakby darowywali wieczną młodość. Nienawidzę tego. Ja również, Yvonne. Nienawidzę tak zwanych namiętnych tańców. Mówi pan poważnie... czy wyśmiewa się ze mnie? Oczywiście, że poważnie. To bardzo dziwne. Mój ideał to siedzieć naprzeciw takiej dziewczyny jak pani, patrzeć na nią w milczeniu i palić. I żeby grała muzyka. Rozumiem ubóstwo swoich pragnień, ale... A jak długo powinien trwać seans duchowego zjednoczenia, jeśli zrozumiałam pana prawidłowo? Wszystko będzie zależeć od tego, co mamy sobie do powiedzenia. Jeśli mówi pan to poważnie, to jest pan dziwny. Nic w tym dziwnego. Jestem w tym wieku, kiedy człowieka zaczynają nużyć głupiutkie dziewczątka, stworzone do namiętnych tańców. Pragnie się czegoś większego. Jeżeli pan sobie wyobraża, że spotkał pan Einsteina w mini-spódniczce, to się pan myli. Jestem zwyczajną dziennikarką prowincjonalnej gazety. Z działu informacji. Zabójstwo w Poitiers. Strajk chłopów. Zwycięstwo kandydata KPF w wyborach kantonalnych. Nie mogę spokojnie patrzeć na pani ręce. I na pani włosy. Pan jest bardzo miłym chłopcem – powiedziała Yvonne i na chwilę oparła mu dłoń na piersi. Ile pan ma lat? Dwadzieścia dziewięć. W porządku, wyjdę z hotelu cichutko o szóstej rano i pospacerujemy przed śniadaniem poza wszelkimi programami. A teraz muszę wsiadać do autobusu i jechać, bo towarzysz Callmette przygląda mi się surowo. Dobranoc.

Nigdy nie zapomnę Yvonne, bo była bardzo podobna do Olenki, mojej pierwszej miłości. Długonoga, zwinna dziewczyna w skórzanej kurtce i spódniczce mini. Teraz, kiedy słucham tej pieśni, zdaje mi się, że mikrofon był przyciśnięty do serca Yvonne, gdy szła wczesnym rankiem — miasto spało i surowy towarzysz Callmette jeszcze chrapał — gdy szła z Walerym nad brzeg Bohunki, gdzie było kąpielisko kniahini Olgi. Dźwięcznie i cicho

zrobiło się w naszym prześwietlonym mieście, jak na innej planecie, znajdującej się trochę bliżej słońca niż nasza ziemia. Przeszli parkiem należącym niegdyś do żony Potockiego obok znieruchomiałych diabelskich młynów, jakichś dziwnych przyborów, z których pomocą jaropolscy siłacze mierzyli siłę, obok beczki śmiechu — dokoła tego wykrzywionego lustrzanego świata, w którym deformowała się pogodna twarz poranka, obok grobu nieznanego żołnierza i ciężkawego cementowego obelisku z setkami nazwisk jaropolan, którzy zginęli w czasie ostatniej wojny. Zatrzymali się koło brązowego pomnika Diany, zagubionego wśród dębów i lip XVIII stulecia. Mszysta warstwa rosy pokrywała ciało bogini. Yvonne zaśmiała się: z prawego boku Diany czerniał akuratnie wycięty otwór, okienko niby lufcik. Wsunęła w otwór rękę.

Skarby, wyjaśnił Walery. Ktoś uwierzył plotkom, że hrabia ukrył złoto w biodrach pięknej Diany. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak mi się podobaś. I ja nie rozumiem. Nie wiem, jak będę żył, kiedy pojedziesz. Ja też nie wiem. Zejdźmy w dół, pokażę ci kąpielisko kniahini Olgi. Kniahini? Czy to ma związek z rodziną Romanowów? Nie, nie. To bardzo stara historia. Ruś Kijowska. Olga walczyła w tych okolicach. A nad rzeką lubiła odpoczywać. Tam jest takie miejsce, gdzie się kąpała. Powiadają, że każdy, kto się tam wykąpie, zachowa wieczną piękność. Twój program oszałamia mnie swoją romantycznością. Napiszę reportaż *Kniahini i komputery* dla „Humanite”. Firmy kosmetyczne zwiędną z zazdrości, kiedy usłyszą o wannie księżnej Olgi. Niech cię nie urzeka zanadto egzotyka. Była to bardzo okrutna i podstępna kobieta. Kiedy przeciw jej mężowi powstało miasto Drewlan i księżę zginął, a księżna nie była w stanie pokonać oporu mieszkańców, wówczas poprosiła, aby spłacili jej podatek w gołębiach. Z każdego domu po gołębiu. Mieszkańcy z radością przystali na ten warunek myśląc, że tanim kosztem wykupili się od podstępnego wroga. Otrzymawszy gołębie Olga rozkazała, aby przyczepiono im do ogonków zapalone pochodnie i wypuszczono

je na wolność. Ogniste ptaki poleciały do swoich domów i podpaliły je. Spłonęło całe miasto... Jaka niebezpieczna symbolika. Ptak pokoju...

Wąską ścieżyną podążali tam, gdzie kończyła się ziemia i zaczynała woda. Były to miejsca odludne, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Miasto ukryło się za zakrętem Bohunki, odeszło, jakby go wcale nie było. Brunatne i szare granitowe słupy podpierały brzegi, wylaniały się spod ziemi gigantycznymi grzybami, na wypolerowanych przez wodę bryłach wybłyskiwały kwarcowe konstelacje — tak przejawiała się chaotyczna siła przyrody, nie podporządkowana żadnym prawom architektoniki; rujnowanie i powstawanie nowych form — wszystko tu było trwaniem i potężnymi podziemnymi ruchami skorupy ziemskiej. Granitowe łysiny pokrywał jedwabisty zielony mech; załomy i szczeliny, wgłębienia i trawy, idiotyczne napisy farbami olejnymi na surowej powierzchni głazów, relikty katastrof geologicznych i wycieczek turystycznych, wzniosłość opustoszałych wzgórz i plusk wody. Walery z Yvonne usiedli na kamieniu obok kąpieliska Olgi. Nie wiem, dlaczego Walery nie pocałował wtedy Yvonne, która przytuliła się do niego, bo nie było lepszego momentu niż ten, ale wkładał kasetę do kamery i nie patrzył na Yvonne. I wtedy zdjęła białe letnie kozaczki, biały sweter z czarnym geometrycznym wzorem, białą spódniczkę i w ogóle wszystko, co noszą dziewczęta w jej wieku — wszystko to zrzuciła z siebie. Usłyszał tylko tajemniczy, przejrzysty szelest — weszła do wody, do granitowej kąpieli przypominającej odbicie kobiecego ciała, wszystkich jego tajemniczych kształtów.

Walery sfilmował długą panoramę jaropolskich wzgórz i dziewczynę, która ostrożnie zstępuje do wody, zasłaniając rękami piersi, sfilmował wodę, która zagarnia jej ciało, wsysa biodra, brzuch, a potem uniósł w górę aparat i w obiektywie pokazały się chmury, lekkie i ró-

żowe, jakby przyleciały z dawnej Hellady, kraju marmuru i bogów. Walery zmienił kierunek, postawił teleobiektyw i znów spojrzął na Yvonne, którą przybliżył mu obiektyw. Myła się, ochlapywała dłońmi twarz, pieściła ją palcami, jakby to była twarz ukochanego. To również sfilmował Walery i to, jak Yvonne zjawia się spod wody, jak rodzi się jej ciało oświetlone słońcem, jak spływają z niego strumyki wody. Yvonne zaczęła podskakiwać na jednej nodze — chyba do ucha dostała się jej woda — i to także utrwalił na taśmie 90 din teleobiektywem, bo był to nie byle jaki operator.

Słońce podniosło się jeszcze wyżej nad jaropolskimi urwiskami, świeciło chłopcu prosto w oczy i sfilmował Yvonne w kontrażurze. Widział już, jak to będzie wyglądać na ekranie: czarna postać otoczona płynną świetlistą linią, jakby namalowana promieniem. Ale dzień znika na ekranie, otwierają się niebieskie nocne wierzeje, biała noc jak w Leningradzie. Taką widział Yvonne, oto jest przy nim, przysiadła koło niego. Spojrzenie ma pewne i szczęśliwe — Walery patrzył na jej szyję i niżej, gdzie trzymała rękę — różowo i delikatnie zaświeciły się paznokcie. Pasma włosów znowu zsunęło się jej na twarz, odsunął je, a Yvonne wzięła jego rękę, pocałowała dłoń i palce.

Nie rób tego. Dlaczego? Nie trzeba. Czemu? Trzeba już iść. Mamy jeszcze czas. Nie, musimy iść. Poczekać jeszcze chwilę. Nie mogę. Co się z tobą dzieje? Muszę wpaść do studia. Poczekać. Trzeba biec. Czemu tego nie chcesz? Dlatego, że tracę cię dzisiaj na zawsze. Rozumiesz? Na zawsze. Ale... Pojedziesz do swego narzeczonego i będziesz wysyłała mi pocztówki z wieżą Eiffla wykonane znakomitą techniką poligraficzną. Lub listy „Par Avion”. Ależ ja nie mogę tu zostać, kochany. Ty to rozumiesz. Mam ojczyznę. A ja nie mogę pojechać do ciebie. Bo ja też mam ojczyznę. A może przyjedziesz mnie odwiedzić... Nie. Dlaczego?

Nie przyjadę. Czemu? Ubieraj się. Dlaczego? Ubieraj się! — krzyknął niemal brutalnie i wstał. — Muszę zdążyć do studia. Cały dzień dzisiaj będę filmował waszą delegację.

Dziwni to ludzie — Rosjanie czy Ukraińcy, czy jak tam się nazywają — pomyślała. Wracając z Walerym do miasta myślała także o mistycznej duszy słowiańskiej. Tuż przed wyjściem z parku, na skraju starych altanek, odrapanych stołów pingpongowych, koło białych słupów ogrodzenia, na których stały elegijne urny cmentarne, pocałowali się i umówili, że do samego odjazdu do Paryża nie będą zwracali na siebie uwagi, jak to robią między ludźmi autentyczni zakochani, aby nie mieli do nich pretensji ani towarzysz Callmette, ani dziadek Walerego, ani wielu innych dobrych i czułych ludzi. Bo istotnie — delegacja przyjechała nie dla amatorów, ale dla poważnej pracy, a Walery pracował przecież w ważnej instytucji kulturalnej nie po to, aby zajmować się taką podejrzaną i dziwną sprawą, jak miłość od pierwszego wejrzenia do całkiem nieznannej osoby, która przyjechała do nas na dwa dni z dalekiego — jakby nie było — obcego świata. Walery już słyszał znajome słowa, skręcone w krętą jak sznuręk przemowę szefa na tematy wychowawcze: świat szefa składał się ze sfery kruchej i lśniącej jak bańka na choinkę, która tkwiła na grzbiecie powolnego żółwia o nie mrugających mądrych oczach; ten ptolemeuszowski system moralności szef Walerego niósł z powagą i dumą niby inwalida, który dopiero co otrzymał skrzypiącą nową protezę. A w ogóle szef był dobrym, nieszkodliwym dziadziusem.

Umówiwszy się co do sposobu postępowania, nasi bohaterowie rozeszli się. Yvonne niezależnym krokiem poszła do kiosku „Sojuzdruku“ koło hotelu „Jaropol“, kupiła jakieś niepotrzebne gazety w niezrozumiałym języku, w którym tylko jedna litera „i“ była jej naprawdę bliska, i poszła do restauracji na śniadanie. A Walery

w tym czasie pobierał taśmę, kłócił się z Ludką, bo w ciągu doby zużył prawie cały miesięczny limit, i zamawiał dla siebie samochód, aby zdążyć wszędzie za delegacją francuską.

A potem filmował gości w fabryce wyrobów metalowych — największym zakładzie Jaropola — wśród lśniących piramid, stosów rondli i durszlaków, warsztatów, lamp jarzeniowych, radosnych i wzruszonych uśmiechów, mocnych uścisków dłoni, i ziemia drżała trochę, jakby gdzieś trwało trzęsienie ziemi — to walił młot parowy i wydawało się, że nad głową przejeżdżają pociągi. I za każdym razem, kiedy wspominał pociąg, Walery odczuwał skurcz serca. Potem fotografował gości w sowchozie imienia Klary Zetkin, gdzie poczęstowano ich pierogami z serem i śmietaną i mocnym winem własnego wyrobu. Występował towarzysz Callmette opowiadając, jak zamachowcy z OAS usiłowali go zamordować, jak podrzucili bombę plastikową do kartonowego pudła, w którym przywieziono mu lodówkę do domu, jak ta bomba wybuchła na schodach na szczęście głusząc jedynie tragarzy. Potem goście z Francji pojechali do Riabego Chutoru, do artystki ludowej Marty Poliszczuk. Starsza już i kulawa kobieta o ciemnej znużonej twarzy kłóciła się akurat z żołnierzką Wirą, a nawet trochę popłakiwała, bo byczek Wiry narobił szkody w ogrodzie Marty i to nie po raz pierwszy. Ale kiedy przyjechali Francuzi, wrzeszcząca jak najęta żołnierzka Wira pohamowała się, rozumiejąc konieczność wyższej polityki, i poszła precz szturchając byczka nogą, a Marta zaprowadziła gości do paradnej izby i rozłożyła przed nimi swoje malunki. Goście jak zaczarowani oglądali te obrazki, naiwne i czyste jak jabłko umyte deszczem. Yvonne poczuła znowu, że coś w niej zamarło, uschło i zniknęło — wszystkie te biennale, triennale, właściwości plastyczne połamanych parasolek i sprasowanych samochodów ford, nieżywych gipsowych

zmarszczek na pop-artowskich manekinach, te intelektualne rozmowy, subtelne aluzje, błyszczące katalogi i takie same glansowane eseje, elastyczne i słodziutkie jak guma do żucia. Po zielonym wzgórzu Marty Poliszczuk spacerowały czarne kruki, stał dwugarbny koń, a z jego boków wyrastały drzewa, zabity Kozak leżał pod zieloną mogiłą Marty Poliszczuk, śmieszny Kozak podobny do Charlie Chaplina, tylko zamiast melonika miał obwisłą czerwoną czapkę podobną do wełnianych czapeczek norweskich narciarzy. W sercu Yvonne pozostał tylko Magritte, stary przejrzysty Magritte, bo Magritte nie kłócił się z Martą Poliszczuk, bo był to jej daleki współnik. Walery starannie filmował Francuzów, malowidła, Martę Poliszczuk, nie rzucił nawet obojętnego spojrzenia na Yvonne, lecz na odwrót — poświęcał dużo uwagi platynowej lali w błękitnych dżinsach.

Ale czas leci, panowie! Już odjeżdżają nasze pociągi, już odjeżdżają! I pociąg (ekspres międzynarodowy, udekorowany białymi, czerwonymi i niebieskimi barwami), pociąg Paryż—Jaropol za chwilę odjedzie z toru pierwszego przy peronie pierwszym stacji Jaropol. Na stopniu wagonu stoi czarnulka, rozgorączkowany tłum czyni ją jeszcze bardziej samotną, a koło wagonu (to ostatni wagon Paryż—Jaropol) kręci się operator telewizji. Będzie bardzo ciekawa transmisja. Młodzież jaropolska odprowadza francuskich przyjaciół. Rżnie orkiestra dęta, w oknach wagonów — twarze i ręce, *oui, oui, oui*, znaczki, aparaty fotograficzne, harmider, ciasnota, wymiana adresów — nieznane adresy nieznanymi ludźmi jak na pożegnaniu ostatecznym.

Ryknęła lokomotywa, żelazny stukot zderzaków przemknął się od pierwszego do ostatniego wagonu. Żegnaj, monsieur Jaropol! Yvonne stoi na stopniu i patrzy na Walerego. Walery stoi na peronie w odległości trzech metrów od Yvonne i nie odrywa od niej wzroku.

Semen Hryhoraszczenko uderzył w błyszczący dzwon.

Przerzucamy i my ostatnią stronę historii dwojga zakochanych.

Zazgrzytała kołami lokomotywa i zgodnie z wszelkimi zasadami mechaniki Newtona i instrukcji zarządu Kolei Południowo-Zachodniej pociąg Paryż—Jaropol miał ruszyć z miejsca. Ale nie. Pozostał na miejscu, jakby przywarł do gigantycznego elektromagnesu. Maszynista szarpnął więc raz jeszcze, lokomotywa zaczęła pracować pełną mocą, jakaś struna w pociągu napięła się i zerwała, zerwała się z hukiem i jedynie żałosne echo odezwało się nad miastem. Cały tłum na peronie zamarł, zastygł w bezruchu: ostatni wagon, na którego stopniach stała czarnowłosa dziewczyna, pozostał na miejscu, a pociąg oddalał się — powoli i nieubłaganie. I wtedy to zdarzył się jeszcze jeden cud, który do dziś pamiętają niektórzy starzy jaropolanie: Yvonne wśród tej ciszy i osłupienia, które opanowało tłum, rzuciła się z płaczem na szyję Waleremu. Walery cisnął na peron swoją nowiutką kamerę „Convasse” i zaczął całować Yvonne, i w tym momencie nastąpiło zaćmienie słońca. Ten astronomiczny casus odciągnął uwagę tłumu od naszych zakochanych. Świat zrobił się szary, utracił barwy, ciemność wysysała z niego wszelkie żywe odcienie, na pasach startowych lotniska zapłonęły wieczorne światła, spłoszyło się ptactwo nad starym żydowskim cmentarzem. Księżyc wisiał na niebie jak czarna moneta, a kiedy odszedł, by błąkać się po swojej niewidocznej orbicie, ludzie zobaczyli, że na miejscu, gdzie całowali się Yvonne i Walery, stoi granitowy słup, który kształtem przypomina nieco dwie postacie ludzkie złączone ze sobą nierozzerwalnie.

Państwo oczywiście powiecie mi zaraz, że to wszystko sentymentalny wymysł, sprzeczny z naszymi trzeźwymi czasami, że to antynaukowa bajeczka; bo wiadomo ponad wszelką wątpliwość, że nauka nie odnotowała dotąd wypadków przekształcania się człowieka w granitową bryłę. Po drugie, powiecie mi państwo, że ostatni

wagon pociągu Paryż—Jaropol oderwał się przypadkowo wskutek awarii systemu łącz, za co odpowiedni urzędnicy kolejowi otrzymali surowe kary administracyjne. I po trzecie — zaczniecie udowadniać, że Yvonne mieszka w swoim mieście, że przestała być dziennikarką, że wyszła za mąż za swego narzeczonego, ale zabił się on w swoim błękitnym mustangu pozostawiając jej dwóch synów, z których jednemu dała na imię Walery. A potem jeszcze powiecie mi, że Walery zestarzał się, że zaczął łysieć, że został głównym reżyserem jaropolskiej telewizji, otrzymał dwupokojowe mieszkanie (33 metry kwadratowe powierzchni samych pokoi) z wygodami, ma dwie córki, jednej na imię Iwona. Ale odpowiem państwu na to, że nie było was jeszcze na świecie, kiedy stałem na peronie i patrzyłem, jak płacze Yvonne, jak całuje ją Walery, jak leży obok na asfalcie nowa kamera błyszcząc niebieskawym obiektywem. A powiedzcie wobec tego państwo, skąd wziął się na naszym dworcu ten granitowy słup? Czy wiecie, sceptycy i małowierni, płytkcy realiści i zapleśniali skrupulanci, że do Jaropola przyjeżdżała specjalna komisja z Kijowa, z Akademii Nauk USRR, aby zbadać ową niezwykłą bryłę: chciano odłupać chociaż kawałek, aby zrobić jakieś tam analizy, i nie udało się. Chciano zawieźć bryłę do Kijowa, postawić na ulicy Lenina koło wejścia do muzeum geologicznego Akademii Nauk naprzeciw hotelu „Inturist” — i guzik! Nie udało się ruszyć z miejsca Yvonne i Walerego i zostawiono ich na wieki w Jaropolu. A czy wiecie, że kiedy wywołano film Walerego, to na filmie oprócz chmur nie było nic — miesięczny prawie limit taśmy roztrwonił operator Orłyk na niebo. Dlaczego? — pytali wszyscy, którzy znali tę historię.

I jeszcze jedno: czy nie wydaje się wam dziwne, że starszy sierżant milicji, wujek Kuzenko, zabrania naklejania na tym granicze ogłoszeń o sprzedaży pianina firmy „Meklenburg”, o zamianie mieszkania, o zaginię-

ciu psa — białego pinczera angielskiego, o kolejnych zapisach na kursy tańca nowoczesnego. Strasznie nie lubi tego Kuzemko, a jeśli nawet zjawiają się takie ogłoszenia, to wyjmuję z płaszcza scyzoryk i zdrapuje z granitu to paskudztwo.

Rozdział szósty,

oparty całkowicie na prawdziwych faktach z życia ludowej malarki Marty Poliszczuk na tle historycznych wydarzeń związanych z przyjazdem von Brückena do Riabego Chútoru; w rozdziale jest także mowa o tajemniczych właściwościach malowideł Marty Poliszczuk, która została później stałą mieszkanką Jaropola i o tym, co z tego wynikło.

Skoro już wspomniałem Martę Poliszczuk w poprzednich swoich gawędach, to teraz odczuwam nieodpartą potrzebę, by opowiedzieć o niej dokładniej, tym bardziej że ostatnio pojawiło się mnóstwo sprzecznych publikacji przedstawiających jej życie i twórczość w niewłaściwym świetle.

Kto pamięta Riaby Chutor w przededniu drugiej wojny? Przytulone do ziemi chałupy, piaszczysta gleba nad wodami Bohunki, strzechy zielone od mchu i osiki, których pnie pokrywały się wiosną jakimś liszajem i stawały się szarozielone — taki kolor miały potem niemieckie płaszcze wojskowe. Gdy się spojrzało na ten Riaby Chutor gdzieś tak w marcu, kiedy zaczynał topnieć śnieg, to zdawało się, że wioska leżała długo na dnie zamulonego stawu i że dopiero co odsunięto zaporę i spłynęła woda. Riaby Chutor w 1941 roku to dwa traktory CHTZ, jedna ciężarówka, jedna maszyna do szycia, dwa odbiorniki radiowe „Kołchoźnik“, jeden patefon u Prokopa Korobki z kompletem igieł i płytami ukraińskich pieśni ludowych w wykonaniu Oksany Petrusenko, cztery harmoszki, jeden bęben, lampy naftowe, bo elektryczności jeszcze nie było, no i wszelakie naczynia, szczególnie gliniane, ikony ozdobione cynfolią, żakiety z pluszu, po który trzeba było jeździć do jaropolskiego sklepu tekstylnego, a na dodatek papierowy dobytek — obli-

gacje pożyczek państwowych, plakaty z portretami Marii Demczenko wraz z instrukcją, jak osiągnąć 500 kwintali buraków cukrowych z hektara, podręczniki szkolne, w których uczniowie musieli zamazywać to te, to inne fotografie marszałków Tuchaczewskiego, Jegorowa, Blüchera, no i oczywiście chłopski chleb powszedni — fasola, wianuszki cebuli oraz ziemniaki w piwnicy, trochę sadła, słoniny i chleba po półtora kilograma na dniówkę.

W całym Riabym Chutorze nie było ładniejszej dziewczyny niż Marta Makohon, bo takie było jej panieńskie nazwisko. Buzia jak malowanie, smagła karnacja skóry, nerwowe drobne ruchy, czarne oczy; w tych oczach coś się świeciło, było w nich coś takiego, co przenikało do głębi duszy. Swego czasu studiowałem kwestię ludzkich oczu, zasięgałem nawet w tej sprawie porady profesora Mykoły Chołodnego — jak, w jaki sposób poznać i obiektywnie wymierzyć ten błysk u różnych ludzi, jak dowiedzieć się, gdzie lśni w oczach dobroć, a gdzie — podstęp, gdzie błyszczy rozum, a gdzie pełgają złe wilcze ogniki? Chciałem skonstruować nawet jakąś aparaturę do pomiarów błysku, ale profesor Chołodny mi odradził. Stwierdził, że jeszcze długo nie uda się wynaleźć wrażliwszej aparatury niż ludzka dusza, a sama dusza powinna odczuć, czy czyjeś oczy zwiastują dobro, czy zło.

W oczach Marty Makohon zawsze lśniło radosne przecucie, oczekiwanie jakiegoś cudu.

Smaliło do niej cholewki dwóch najładniejszych chłopców w całym Riabym Chutorze — wspomniany już wysoki, silny Prokip Korobka, właściciel patefonu, i Iwan Poliszczuk — drobny, cichy chłopiec o łagodnym uśmiechu. Nikt mu nie mówił po imieniu. Wszyscy wołali na niego Komsomolec, był bowiem sekretarzem organizacji komsomolskiej w kołchozie, chodził zawsze zaafekowany, po pracy (a pracował jako traktorzysta) musiał pędzić do rajkomu do Jaropola, a przecież to osiem

kilometrów tam i osiem z powrotem; poza tym ustawiczne zebrania, kampania, aby skłonić jak najwięcej ludzi do prenumerowania gazet, agitacja za pożyczką państwową, składki. Krótko mówiąc prawie nie bywał w domu, nie widziano go też nigdy na zabawach. Aż raptem, jakoś na wiosnę, kiedy skończyła się orka, dostrzeżono Komsomolca z Martą — wychodzili z lasu, opromienieni szczęściem namalowanym na ich twarzach. Kiedy to usłyszał Korobka, od razu posłał swatów. Nie miał przecież równych sobie w Riabym Chutorze ani co do siły, ani urody, ani umiejętności gry na harmoszce, ani co do uwodzenia na wieczorkach dziewcząt. Swatów Prokopa Korobki poczęstowano wszelako w Makohonowej chacie arbuzem, dano im kosza.

Marta wyszła za mąż za Komsomolca, została Poliszczukową.

Trzy lata przed wybuchem wojny urodził im się syn Wasylko.

I oto kiedy Marta chodziła w ciąży, żółta i chuda, bo swoją urodę oddawała synowi — zaczęła dla swego pierworodnego malować. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, bo w Riabym Chutorze z dawien dawna baby wiosną malowały chaty, ozdabiając je kogucikami i kwiatami, a nawet w samej chacie malowały piec. Mama Marty władała również ową niewymyślną sztuką, chociaż nie wyróżniała się szczególnym malarskim darem.

Najpierw ozdabiała Marta ściany swojej chaty jedynie przed Wielkanocą. Namalowała dla swego upragnionego dziecięcia kilka koni: czerwonego — aby jego życie było wesołe, zielonego — aby było młode i zdrowe, wreszcie niebieskiego — aby było rozumne i dobre. Tak miło skakały owe koniki po ścianach, że wszyscy, którzy przechodzili koło Poliszczukowej chaty, zatrzymywali się i nie mogli od niej oczu oderwać. Weselej robiło się ludziom na sercu, kiedy patrzyli na te koniki. A na piecu

Marta namalowała lwa. Dobrego lwa o czerwonej sierści i mądrych zielonych oczach. Lew chodził po konarze między dębowymi liśćmi i żołądziami. Komsomolec zawsze się uśmiechał, kiedy spozierał na tego dziwnego lwa, uśmiechał się, całował Martę i mówił:

— I gdzież to, Martuniu, takiego lwa widziała? Przecież takich lwów nie ma!

A Marta oblewała się ze szczęścia rumieńcem i uśmiechała z zażenowaniem.

— Będę bardzo długo wpatrywała się w tego lwa i nasz synek będzie tak samo urodziwy i śmiały jak ten lew.

A kiedy już wszystkie ściany zostały zamalowane, zaczęła Marta malować na papierze. Kupiła w Jaropolu gwasz, pędzelki i całymi dniami siedziała w chacie malując swoje dziwaczne obrazki. Nawet świekra zaczęła złościć się na synową i robić jej wymówki: „Dlaczego — powiada — marnujesz czas? Lepiej posyłałabyś coś dla dziecka, jakąś sukieneczkę, albo sprzątnęłabyś izbę, lub też zamiesiła ciasto i napiekła chlebusia”.

Kiedy urodził się Wasylko, zabrakło, rzecz jasna, na malowanie czasu. Ale mimo to, jak tylko maleństwo zaśnie wieczorem i zacznie sapać po cichutku — dźwięk taki delikatny i usteczka stulone w mały różowy trójkącik, a od rzęs na policzki padają długie cienie — siada Marta koło lampy i dalejże coś malować. Jej mąż, Komsomolec, podobnie jak przed ślubem, późno wracał z kolchozu. A kolory na jej malowidłach są wieczorem gęste i ciemne, lecz w dzień robią się, o dziwo, jaskrawe i lekkie. Wasylko zaś, spoglądając na nie, uśmiecha się szczęśliwie.

Mądre rośnie dziecko Marty — nie mogła się nim nacieszyć.

— Mamusiu — powiada kiedyś — namaluj mi lybę, taką wieceelką lybę, ja siądę na niej i popłynę Bohunką do morza.

— A po co, synku, będziesz płynął do morza?

— Powiadają, że morze jest niebieskie-niebiesciutkie. Wezmę wiadelko i przywiozę ci, mamusiu, niebieskiej fałby.

— Och, ty mój najśłodszy maluszk, mój listeczku śliczny, zielony — obsypywała go pocałunkami Marta.

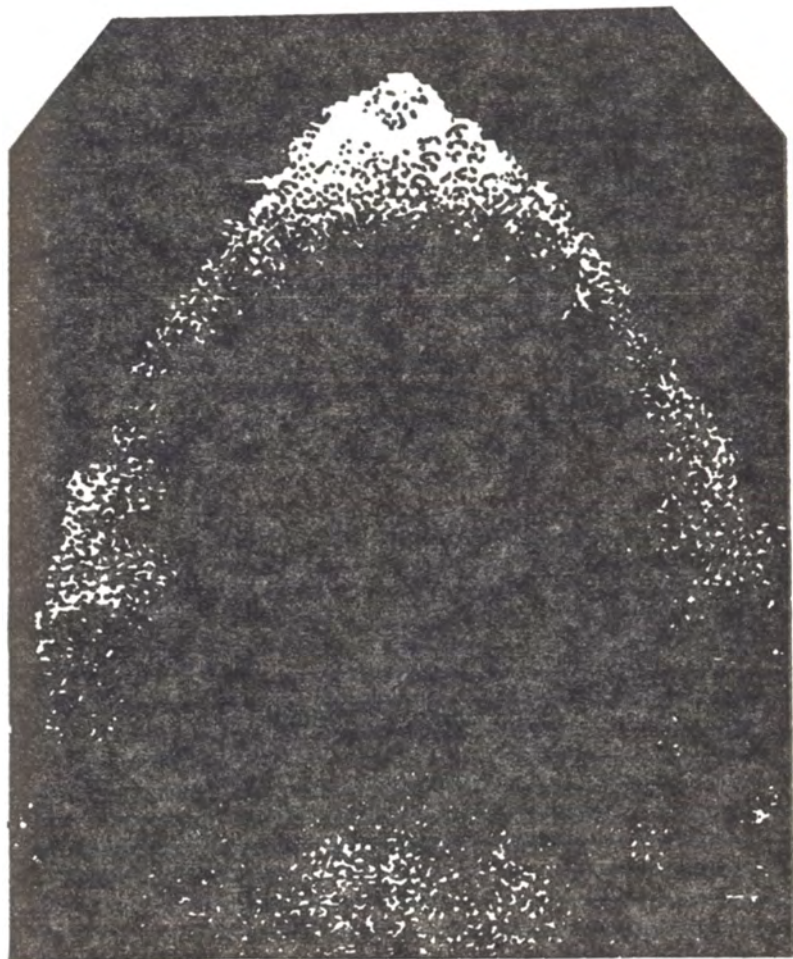
Zobaczył kiedyś Wasylko, jak gołąb latał nad ich chatą i zgubił siwe piórko. Podniósł je i przyniósł mamie.

— Mamusiu — powiada, posiej to pióлко w ziemi i niech wylosną gołąbki.

Takim był Wasylko w owym strasznym roku, kiedy to zaczęła się druga wojna. Baby, które wozily do Jaropola mleko, wróciły szybko stamtąd pełne strachu i opowiadały, że Jaropol bombardowały samoloty z krzyżami na skrzydłach, niemieckie, znaczy się. Ledwie sprzedały mleko, pobiegły natychmiast kupować sól, ale nie sprzedawano więcej niż po dwa kilo na osobę, a szarego mydła w kawałkach nie było zupełnie. Zostało tylko drogie, różowe, miastowe, w papierowych opakowaniach — ale to podłe mydło, bo się szybko wymydlą i nic oprócz słodkiego zapachu nie pozostawia po sobie.

Przybiegł z pola zziajany Komsomolec, nie zdążył się nawet przebrać i tak jak stał, w zabrudzonym, wyszmelcowanym kombinezonie, popędził do rajkomu.

Potem nad Jaropolem zapłonęła wielka łuna — to płonął skład z benzyną — a przez Riaby Chutor zewsząd długim szeregiem pociągnęli uciekinierzy. W ciągu całego swego życia Marta nie widziała tylu twarzy, jak przez tych kilka dni odwrotu. Zapamiętała, jak do ich chaty weszła młoda kobieta z dziewięcioletnim jasnowłosym chłopczykiem; w jego spojrzeniu było coś niezwykłego; przyjrawszy się uważniej, Marta zrozumiała, o co chodziło: nie mrugał powiekami; szeroko rozwarte oczy były martwe, a w jego niebieskim spojrzeniu było coś przerażającego. Okazało się, że kobieta była żoną dowódcy straży granicznej. Mąż zginął w pierwszym



dniu wojny, a ona sama szła aż spod Rawy Ruskiej, była jakiś czas z synem w okrążeniu, już widziała niemieckie czołgi i wojska desantowe. Nic nie miała ze sobą, jedynie chłopiec niósł klatkę z zieloną wilgą. Świekra Marty wpuściła uciekinierów gderając z niezadowolaniem. A kiedy kobieta poprosiła o mleko dla syna, świekra zażądała jakiejś zapłaty. Uciekinierzy jednak nie mieli pieniędzy i świekra zgodziła się przyjąć za mleko klatkę z wilgą.

— Mamo! Co wy wyprawiacie? — zachnęła się Marta. — To przecież wielki grzech, mamo!

— Milcz! — wrzasnęła na synową stara, a jej wargi zrobiły się zupełnie szare. — Ona chodzi w jedwabiu, szkoda tylko, że podartym, i zdaje mi się, że całe życie nosiła eleganckie pończochy, a ja całe życie babrzę się w gnoju koło krowy, dla was się staram... Gdyby nie ta krowa, gdyby nie to mleko, czy twój Wasylko byłby taki pulchniutki?... A klatka przyda się w gospodarstwie.

— Mamo, mamo — zaniósł się szlochem ze wstydu i bólu Marta. Uciekinierka powiedziała synowi, aby oddał klatkę, ale chłopczyk nie odezwał się ani słowem, tylko zaciskał kurczowo palce na klatce. Wówczas kobieta podeszła do niego i przemawiając do chłopca zaczęła łagodnie rozginać jego cieniutkie i wychudłe palce — jeden po drugim, jeden po drugim, aż odebrała mu klatkę i oddała ją świekrze Marty.

A o świcie, kiedy świekra poszła krzątać się przy krowie, Marta przyniosła klatkę uciekinierom. Chłopczyk nie mrugając rzucił spojrzenie na klatkę, schwycił ją i przytulił do piersi. Zaczął ciągnąć matkę, aby czym prędzej uciec z tej chaty. Tylko że wilga była już martwa.

Zielona wilga zdechła nocą od zaduchu, a może od czegoś innego?

Tak oto utkwiał w pamięci Marty ten zielony chłodny poranek, trawa umyta rosą, czerwone słońce i grzmoty dalekich wybuchów, nie mrugające oczy chłopca i mar-

twoja wilga. I ludzie, ludzie idący nie wiadomo dokąd — exodus całego narodu, przemieszczenia i zagłada ogromnych warstw gruntu jak podczas trzęsienia ziemi. Rankiem nie ma jeszcze kurzawy na bitym trakcie, zjawi się dopiero koło południa. Od tamtego czasu zieleń i czerwień wywołują w duszy Marty smutek, najsmutniejsze jest dla niej to właśnie zestawienie kolorów, a jak dodać do nich czarny, to w jej oczach pojawiają się łzy. Kto nie wie o tym, to myśli, że zieleń i czerwień są po prostu wesołą gamą barw.

Już wróg był koło samego Riabego Chutoru, kiedy nocą nadbiegł Komsomolec — pocałował Martę, Wasylka, matkę i szeptem, jakby już nie był u siebie, na swojej ziemi, oznajmił, że rajkom zlecił mu zorganizowanie oddziału partyzanckiego i że będzie tu w pobliżu, w leśnym kraju, i że niezadługo, kiedy nadarzy się okazja, da o sobie znać. Niech żyją w zgodzie, pilnują i doglądają Wasylka, a on sam pójdzie bić wroga i wróci szybko jako zwycięzca.

Przyszli Niemcy i Riaby Chutor zmienił się od razu, jakby w ciągu jednej nocy wymieniono w nim powietrze — ludzie roztopili się w tym powietrzu jak miedź w silnym roztworze kwasu siarkowego. Turkotały we wsi tabory — ciężkie madziarskie konie ciągnęły wozy na gumowych kołach, a na wozach siedzieli dekownicy z wypasionymi gębami. Ale najdziwniejsze Marcie widziało się to, że w tych wozach były rączki do hamowania jak w samochodzie. Starzy dziadkowie patrząc na te dziwy wdychali ciężko i wspominali pierwszą wojnę. Zdziwiły ich nie tyle wielkie ciężarówki i motocykle, ile owe perszerony. Potem front odsunął się daleko i w Riabym Chutorze zrobiło się cicho, a powietrze stało się jeszcze bardziej jadowite; ludzie zaczęli obnażać przed innymi nowe, niespodziewane oblicza. Zdało się, że powkładali maski przeciwgazowe — straszne gumowe maski i jed-

nakowe szklane oczy — któż zgadnie, co kryje się za taką maską?

Prokip Korobka został policjantem. Wyfasował czarny szynel z szarymi wyłogami, niemiecki karabin, nowe buty z cholewami podbite stalowymi ćwiekami.

Spotkała go Marta, spojrzała mu w oczy:

— I gdzieżeś podział sumienie, Prokipie?

— Moje sumienie wycięli, tak jak weterynarz wycina jądra wieprzkom — odparł ponuro Korobka. — Moje sumienie jest na Syberii, gdzie znajduje się grób mego ojca. A ty lepiej powiedz, gdzie twój Komsomołec?

— Tak jak i wszyscy — na wojnie.

— Wiemy, na jakiej wojnie — wycedził Korobka. — No to przekaz mu, żeby tu nosa nie pokazywał, bo inaczej...

— Bądź przeklęty, wyrodku — nienawistnie wyrzuciła z siebie Marta.

Odeszła, a Prokip stał nieruchomo i spoglądał za nią w ślad. Potem powlókł się na skraj wsi, zdjął z ramienia karabin i zaczął strzelać do czarnych kruków, które ciężko siedziały na jesiennych drzewach. Kruki upadały leniwie na ziemię, a pióra i krople krwi rozpryskiwały się wokół. Kruki nie rozumiały, po co strzela się do nich takimi groźnymi nabojami, za jakie grzechy?

A za rok, jesienią 1942 roku chłopcy z oddziału Komsomolca sprzątnęli jakiegoś waźniaka koło Riabego Chutoru: jechał mercedes, w którym siedział generał von Brücken. Zachciało mu się osobiście odwiedzić ziemię należące niegdyś do jego ojca. Generał melancholijnie spoglądał na trawę pokrytą pierwszym śniegiem — śnieg wydawał się zielonkawy, o takim delikatnym pastelowym odcieniu, który zawsze wywołuje wspomnienia dzieciństwa — kiedy przebiec po takim zielonym śniegu, to zostawia się po sobie zielone ślady. Generał von Brücken rozmyślał na niemiecką modłę o tych przeklętych rosyjskich zaspach, w których lada moment zabuksują

samochody i czołgi, o filiżance gorącej kawy, którą ubóstwiał, o Bożym Narodzeniu, kiedy to pojedzie na urlop do Miśni, gdzie na kirchach leży porcelanowy śnieg — łagodny, bezpieczny, przytulny niemiecki śnieżek — i w tym momencie ogniste ćwieki przebiły generalską pierś, jego usta napełniły się krwią i krew ta chlusnęła nozdrzami, a śnieg zrobił się czarny i wszystko utonęło w czerni. Chłopcy z oddziału Komsomolca natrafili na to przekłete auto całkiem przypadkowo — szli sobie do Riabego Chutoru po słoninę i suchary i nie w głowie im było zaczepianie kogokolwiek, a powinni byli zajść jeszcze, do Marty, przekazać wiadomość od męża, a tu masz — napatoczył się przekłety szkop; i skąd go diabli przynieśli?

Dwa dni później do chaty Marty zastukał ktoś nocą. Narzuciwszy na ramiona chustkę, Marta uchyliła drzwi i w migotliwym płomyku kaganka, który trzymała w ręce, dostrzegła Prokipa Korobkę.

— Zbieraj się — powiedział cicho, chociaż jego głos był chrapliwy z emocji. — Stoją tu sanie, zbieraj się. Bierz syna i hajda.

— Dokąd?

— Stanie się coś strasznie złego. Niemcy nakazali mnie, staroście i naszym chłopcom, aby zabrać rodziny i wyjechać z Riabego Chutoru. Zabronili mówić o tym komukolwiek.

— Nie pójdę, kłamiesz.

— Marto — ukląkł przed nią Prokip — żegnam się krzyżem świętym, że nie kłamię. Proszę cię, błagam — uciekaj ze mną.

Kłęczał jakoś niezręcznie, na dworze gwizdał wiatr i rozsiewał drobny śnieg.

— Nigdzie nie pójdę — odpowiedziała Marta, a jej czarne włosy targał wiatr.

Wówczas Prokip uniósł się z kolan i poprawił karabin na ramieniu.

— Rób jak chcesz. Ale marny twój żywot, twójego bękartą i Komsomolca. Kaput. Przyszła kryśka na twójego Komsomolca. Otoczono go w lesie. Żegnaj. Nie spotkamy się więcej na tym świecie.

A potem dorzucił żałośnie:

— A może jednak zdecydujesz się i pójdziesz?

Marta zatrzasnęła przed nim drzwi. Podbiegła do Wasylka. Chłopczyk spał, oddychał ciepło i spokojnie i była to anielska muzyka, jedyna muzyka ukojenia na tym świecie. Serce Marty waliło tak, że w takt jego uderzeń chygotał się płomyk kaganka. Uspokajała sama siebie, że wszystko będzie w porządku. Prokip chciał ją oszukać. Wszystko będzie w porządku. Płomyk kaganka przestał dygotać.

Nazajutrz zmieniło się coś we wsi. Zdało się, że wypompowano całe to trujące powietrze i nie było żadnego: ludzie znaleźli się w wielkiej barokamerze, gdzie nikt nikogo nie słyszy, choćby nie wiadomo jak krzyczał. Ludzi ogarnął niepokój, a wszystkie psy Riabego Chutoru jakby się zmówiły — szczekały i skowytały, wężąc zbliżający się zapach śmierci.

Von Brücken — cóż z tego, że był absolutnym zerem i wyjątkowym leniem, czym zdecydowanie wyróżniał się w gronie swoich kolegów z wermachtu — musiał być pomszczony. Jego niemiecką hemofiliczną krew trzeba było utopić w ciepłej krwi owych Azjatów, tych upartych tuziemców, lekceważących wszelkie zasady prawa w prowadzeniu wojny. Oberleutnant Kabatchek i jego esesmani otoczyli Riaby Chutor i całą ludność obojga płci zapędzili do wykopu, gdzie wydobywano marmur. Razem z esesmanami chodził po domach ojciec Mykoła — kulawy, siwiutki, pociągał zakatarzonym nosem i prosił ludzi, aby zachowali spokój i utrzymywali porządek, bo to zwyczajne sprawdzanie dokumentów, a władza — powiadał — wie, co robi, przecież to tacy kulturalni ludzie, zrozumcie. Ojciec Mykoła sam chce

wierzyć w to, co mówi swoim parafianom. Ziąb wszelako wciska się we wszystkie zakątki jego gołębiego ciała i modli się nieustannie ojciec Mykoła za dzieci, kobiety i starców, aby najświętsza Matka Boska darowała im życie i odsunęła od nich nieszczęście.

Pomódlmy się i my, bracia, za tamtych ludzi, za tę ich ostatnią drogę po zmarłej ziemi, za ich dzieci, które nieśli i przytulali do siebie, wspomnijmy wszystkich ludzi ziemi naszej, wszystkich niewinnie rozstrzelanych, porąbanych, zmarłych z głodu, wszystkich spalonych w piecach wojny, bo jak ich nie wspomnimy, to i o nas zapomną potomkowie nasi, trawą porosną dusze nasze, a to będzie oznaczać, że nadaremnie przeżyliśmy swoje życie na świecie.

Czarni esesmani wypędzili Martę z Wasylkiem i świekrą z domu i zapędzili do tłumu zmarzniętej na kość gromady. Uderzeniami kolb czarni esesmani zmusili ludzi, aby ustawili się w długą kolejkę. Rozpoczął pracę sprawny mechanizm eksterminacji.

Kolejka przesuwiała się powoli w kierunku, skąd rozlegały się strzały: To pomyłka, nieporozumienie, błąd, to niemożliwe, powtarzała w myślach Marta, ściskając do bólu w rękach Wasylka. Prokip kłamał, to nieprawda. Krok za krokiem przesuwiała się kolejka do furtki w parkanie z desek, za którym rozlegały się salwy. I kiedy zostało już kilka kroków do tej furtki wiszącej na zardzewiałych zawiasach, świekra Marty wyrwała się z kolejki, upadła na kolana w śnieg i krzyknęła:

— Ludziska kochane! Wybaczcie mi! To ja jestem winna, to za mój grzech ukarał was Bóg! Słyszycie? — krzychała zwracając szarą twarz ku esesmanom. — Bóg ukarał mnie za to, że zabrałam temu chłopcu klatkę z ptakiem! To ja jestem winna! Mnie rozstrzelajcie! Ale nie ruszajcie ich, bo nie są winni. To ja! Ja! To ja jestem winna wszystkiemu!

Esesmani rechocząc wepchnęli ją znowu do kolejki.

Ojca Mykoły esesmani nie ustawili w kolejce. Stał za ich czarnymi plecami, dygotał, ząb nie trafiał mu na ząb. Jego starcze nogi trzęsły się wyraźnie, a on powtarzał tylko:

— Panie miłosierny, panie miłosierny i ty, najświętsza Mario Panno. Jeżeli jesteście w niebie — powstrzymajcie to wszystko, błagam was. Czy mnie słyszycie? Czy słyszycie? Dosyć już, dosyć...

Jednakże kolejka stawała się coraz mniejsza, a serie wystrzałów nie ucichały.

Ojciec Mykoła, jakby przełamał coś w sobie i odrzucił precz jak zbędne śmiecie, zaczął rozpychać czarne postacie. Esesmani ze zdziwieniem spoglądali na mizernego popa w podartej riasie. Esesmani z pogardą spoglądali na ojca Mykołę — był wszak tak samo żaloszny, jak cała ta prawosławna religia — uboga i archaiczna, jak te chaty pokryte zeprzłą słomą.

— Bądź przeklęty, Boże! — zamachnął się drżącą starczą pięścią ojciec Mykoła. — Nie ma ciebie, nie ma, jeżeli możesz tak spokojnie na to patrzeć — i wszedł batiuszka w te drzwi, za ową furtkę z desek, gdzie go spotkały strzały.

I Marta przestąpiła owe drzwi — i czarny esesman, który stał za furtką, szturchnął ją jeszcze kolbą i machinalnie poszła tam, gdzie koło marmurowych brył, którym było sądzone stać się białymi aniołami na cmentarzach Düsseldorfu, majaczyła jakaś czarna magma, to, co kilka chwil wstecz było jeszcze ludźmi: oto leżały żakiety z czarnego pluszu, za którym trzeba było jeździć do Jaropola, do sklepu tekstylnego, szare chustki, stare kurtki na wacie i niepotrzebne teraz czapki-uszanki. Marta dostrzegła granatową z białymi smugami spódnicę świekry i podartą sutannę ojca Mykoły i w tym samym momencie ogniste gwoździe przebiły Wasylka i Martę, i poczerniał świat, i ucichł warkot karabinu maszynowego, i stał

się taki cichy, jak szelest kropel deszczu ściekających po szybie.

Nocą Marta wygramoliła się spod ciężkich stwardniałych ciał i popęzła po nich szukając syna. Niebo było jasne i czerwone — to dopalał się Riaby Chutor, w którym nie pozostało nikogo z żywych. Tę lunę widać było w Jaropolu — nawet Ławrin Czerwinka odnotował ją w swoich dziennikach i patrole spoglądające w tamtą stronę bulgotały coś po swojemu, po niemiecku, a jeden z żołnierzy wyciągnął nawet ręce w tamtą stronę, jakby chciał się pogrzać koło ogniska, bo zimne noce były na Ukrainie w tamtym czasie, a wszyscy zaśmiali się i zimnymi źmijkami wypęzła z ich ust czerwona para. Tę lunę dostrzegli chłopcy z oddziału Komsomolca i zapomniawszy o wszelkiej ostrożności poszli w kierunku Riabego Chutoru, bo tam mieszkały ich żony i dzieci, i tam stały ich domy.

Kiedy już zbliżali się do Riabego Chutoru, natknęli się w ciemności na czyjeś nieruchome ciało.

To była Marta.

Uciwwszy na chybcika kilka brzózek, partyzanci zrobili nosze, położyli na nich Martę i ponieśli ją do wsi.

Obok noszy, trzymając Martę za omdlałą i zmarzniętą dłoń szedł Komsomolec.

Zanim doszli, wieś już dopaliła się do końca. Jedynie gdzieś wśrodku wśród śniegu, w czarnych spopielałych lejach żarzył się jeszcze ogień pokryty siwą powłoką mrozu i śmierdziało paloną gliną oraz benzyną. Chłopcy porz biegali się na wszystkie strony — każdy pobiegł do swojej chaty, a Komsomolec tkwił przy Marcie pomagając sanitariuszce Oli opatrywać ranną i przyświecał niemiecką latarką.

Po zastrzyku morfiny i napojeniu gorącą herbatą z termosą Marta otworzyła oczy i wyszeptała do Komsomolca:

— Ratuj Wasylka... Idź i szukaj Wasylka...

Zaczynał się świt posypany sadzą; na pobliskich drzewach nie zostało ani strzępka śniegu — śnieg stopniał podczas pożaru, a drzewa rosnące za wioską stały uroczyście i wytwornie jak twory epoki empire'u — srebro na białym tle, czarna mereżka żeliwnych gałązek, beznadziejna cisza głębokiego niemieckiego zaplecza.

Owa czarna magma, którą jeszcze wczoraj widziała Marta pulsującą, ciepłą i nieomal żywą, była teraz szara i skostniała: otwarte usta i rozwarte oczy pod marmurowymi płytami, którym było sądzone stać się białymi aniołami w Düsseldorfie.

Było już za późno na ratowanie Wasylka i ojca Mykoly, i świekry, i jeszcze setek innych ludzi.

Trzeba było odejść ze wsi, bo lada moment mogli nadjechać esesmani.

Komsomolec poszedł popatrzeć na zgliszcza swojej chaty.

Nie zostało nic — tylko piec, po którym spacerował popalony, wyleniały lew — w oczach lwa świeciła zawziętość i złość. Komsomolec podreptał dookoła pieca, pomacał żelazny szkielet maszyny do szycia. I nagle w popiele zobaczył zwitek białego papieru. Ze zdziwieniem nachylił się po niego i rozwinął.

To były obrazki Marty — nie uszkodzone, jakby na tym miejscu nie buzował ogień, jakby nie leżały w samym środku zgliszcz. Jaki cud sprawił, że ocalały?

Komsomolec wsunął zwój za pazuchę, poprawił karabin i dał rozkaz do wymarszu...

Minęło kilka miesięcy i rany Marty zagoiły się po trochu. W jeden z kwietniowych dni, kiedy wydaje się, że nad ziemią unosi się zielony dym, a tak naprawdę to rodzą się pierwsze liście na drzewach, przyszli oboje z Komsomolcem do Riabego Chutoru, na grób Wasylka. Wieś była martwa — wszystkie ścieżki i uliczki pozarażały drobniutkimi niebieskimi kwiatkami, po których żał było chodzić, a kruki, które siedziały na kominach, były

białe, jakby posiwiały przez ten rok. W studniach woda była czerwona i ciężka jak rtęć; kiedy mijali spaloną chałupę Prokipa Korobki, spostrzegli na piecu nowiutki patefon, na którym obracała się błyszcząca płyta: dźwięczny kobiecy głos śpiewał ukraińską pieśń *Handzia*, tylko słowa były nie nasze, niemieckie. Komsomolec wystrzelił w ten patefon. Słodki zapach kwiatów oszałamiał ich i zdawało im się, że płyną powoli nad tą ziemią (później na filmach widzieli jak pod wodą pływają akwalangiści i Marta wspominała odwiedziny w Riabym Chutorze); na poczerniałym słupie telegraficznym wisiał bęben i wiatr walił w niego tak zawzięcie, jak czynił to niegdyś na weselach Petro Makohon, brat Marty.

Weszli na wzgórek, gdzie stała cudem ocalała cerkiew. Ogromnym wysiłkiem udało się Komsomolcowi otworzyć ciężkie odrzwia — otworzył i cofnął się gwałtownie, bo z drzwi cerkwi wyleciały gęstą chmurą miliony białych motyli podobnych do bielinka kapustnika — wydawało się, że dusze wszystkich ludzi zabitych na chutorze zebrały się tutaj, w tej porzuconej, pustej wiejskiej cerkwi. Z pół godziny Marta i Komsomolec czekali, aż wylecą motyle, które pozostawiły złotawy pył i gorycz w sercu. Wreszcie weszli do cerkwi, gdzie leżał na podłodze koński nawóz, prezerwatywy, ludzkie odchody, a na ołtarzu stał postrzępiony przez kule mercedes, którym jechał von Brücker; ktoś powyrzynał nożem czerwoną skórę z siedzeń — chyba na buty. Na ścianach świątyni wisiały odezwy do chłopów, aby nie próbowali dzielić ziemi, lecz pracowali dla zaspokojenia potrzeb aprowizacyjnych armii niemieckiej; wisiały również listy powieszonych — sabotażystów i partyzantów. Tylko na jednej bocznej ścianie wisiał obraz Matki Boskiej, która w przerażeniu tuli do siebie dzieciątko, jakby ją prowadzono na rozstrzelanie.

Upłynęło jeszcze kilka miesięcy i front zbliżył się do Jaropola. Jednostka, do której należał oddział Komso-

molca, wyruszyła w daleką drogę. Marta mieszkała wtedy w Zalizniakach, dalekiej wiosce, u swojej ciotki po kądzieli. Przyszedł do niej Komsomolec, aby się pożegnać przed wymarszem, przyniósł obrazki i opowiedział, że ocalały z pożaru. Z niedowierzaniem spoglądała na zwój papierów zamalowanych czystymi farbami, gdzie wszystko było podporządkowane wewnętrznym rytmom spokoju i chimerycznym, szczęśliwym wzlotom duszy. Zapłakała gorzko — po raz pierwszy od dnia, kiedy ją rozstrzelowano, bo w tych obrazkach był jej syn Wasylko. Kiedy Komsomolec odszedł daleko, Marta poprosiła wujka Hordija, który był cieślą, aby zbił małą trumienkę. Włożyła do niej obrazki i ukradkiem wyniosła trumienkę na cmentarz, wykopała mogiłkę i zasypała swoje malowidła piaskiem, obłożyła pagórek darnią i wbiła w ziemię krzyż zbity byle jak z dwóch osik. Do domu pokuściła prawie uspokojona.

Wojna się skończyła, tylko że Komsomolec z niej nie powrócił — i nikt nie wiedział nic pewnego na ten temat; nikt go nie widział zabitego ani w niewoli, czy też rannego; na wojnie zdarza się, że człowiek wyparuje i nie wiadomo, gdzie jest — na niebie czy na ziemi, czy może pochłonęła go wodna toń.

Kuśtykając powróciła Marta do Riabego Chutoru, wykopała ziemiankę tuż koło swojego spalonego domu i poszła do kolchozu, aby zarabiać swoje gorzkie powojenne dniówki. Nazbierało się trochę ludzi w Riabym Chutorze — jedni powrócili z lasu, inni z frontu, ci z Jarpola, a tamci przyplątali się na powrót na ziemię ojców z sąsiednich wiosek. Powolutku zaczęto budować chaty — ubogie lepianki, zadziwiające monstra zbudowane z resztek minionej wojny i nadziei. Na przykład jeden ze steranych wiekiem mężczyzn zaczął mieszkać w niemieckim tygrysie, tylko pokrył olbrzymi czołg słomianą strzechą, aby pancierz nie nagrzewał się pod lipcowym słońcem; zamiast motoru wstawił piec, a rurę od-

prowadzącą dym podłączył do lufy armatniej. Inny zapobiegliwiec zbudował sobie chałupę z aluminium, wykorzystując do tego celu kadłub rozbitego junkersa. Nakrył tę chałupę skrzydłami, a czarne krzyże z białym obramowaniem pozamazywał farbą; z bomb ustawionych w szeregu uszykował sobie ten chłopiec-roztropek parkan. A znalazł się jeden taki, co gdzieś zaanektował na własność niemiecki balon zaporowy i zaczął na nim latać do Jaropola z towarami na bazar, w dodatku zabierał jeszcze ze sobą ze dwie-trzy kobieciny, prosiaki, worek ziemniaków, aż wreszcie złapała go jaropolska inspekcja drogowa, obwiniając go o branie łapówek, co rzeczywiście było prawdą, ponieważ ów spryciarz rozzuchwalił się do tego stopnia, że począł za pieniądze rozwozić ludzi do różnych miejscowości, a nawet pewnego razu odważył się polecieć swoim balonem na Bazar Żydowski do Kijowa.

Życie zaczęło się jakoś powolutku układać, minął już rok, drugi, trzeci, czwarty od zakończenia drugiej wojny, już ludzie przestali puchnąć z głodu, a z tego, bez czego żyć nie można, brakowało w Riabym Chutorze jedynie dzieci. Nie było dzieci, nie rodziły się wcale. Starzy dziadkowie zapomnieli o jakichś tam amorach, a kobiety albo były zmęczone, albo w żaden sposób nie mogły począć dziecka w swoim łonie, chociaż niektóre z nich miały mężów jeszcze w pełni sił męskich.

Z tego też powodu smutek ogromny zapanował w Riabym Chutorze, a ludzie zaczęli powoli porzucać wioskę, jakby była skażona jakąś trucizną.

Wtedy właśnie powróciła któregoś dnia Marta z pola, gdzie peła buraki zgięta aż do ziemi, i zaczęła obierać ziemniaki, aby sobie przygotować wdowią wieczerzę. Słońce zaszło nisko, gdzieś za wiśniowymi sadami, listowie zrobiło się szkarłatnozielone, a głośnik (wisiął na tym słupie, na którym swego czasu wiatr wystukiwał swoją pieśń) opowiadał coś ważnego o bombie atomowej

i znużona Marta myślała o tym, że jeszcze trzeba napoić krowę Norkę, a grzbiet dokuczał i chciało się Marcie spać — niespodziewanie w tym momencie usłyszała swojego Wasylka. Nie uwierzyła w pierwszej chwili, ale głos Wasylka brzmiał obok wyraźnie:

— Mamo — mówił Wasylko — niech mi mama namaluje pięknego ptaka. Gdybyście, mamo, wiedzieli, jak tu szaro... Wszystko tu szare — i ludzie, i słońce... Ciężko mi ogromnie w tym szarym świecie.

Znów jakieś zwątpienie zakradło się Marcie do duszy.

— Czyżbyś to był ty, Wasylku? — zapytała z cicha. — Przecież nie wymawiałeś „r”. Mówiłeś zawsze „lyba”.

— Zapominacie, mamo, że wyrosłem i że mam już teraz dwadzieścia lat. Nauczyłem się już wymawiać literę „r”, tylko to „r” jest szare i wszystko dokoła jest szare. Namalujcie coś, mamusiu.

Marta obejrzała się dookoła — wszystko jest, jak było: pod drzewem stoi stół, na stole miska, w misce — pomyte ziemniaki, kęsek chleba, cebula, sól i kwaśne mleko w dzbanku. I wieczorne słońce, zakurzone, leży na tym stole niby zmęczony pielgrzym wędrujący od wsi do wsi.

Nazajutrz Marta powędrowała do Jaropola. Kupiła papier, gwasz, pędzelki. Trzęsły się jej ręce, kiedy zamoczyła w farbie pędzelek i zaczęła wywodzić pierwsze kolorowe linie. Spodziewała się, że nic nie wyjdzie, sądziła, że poumierają w niej owe przedziwne ptaki i zwiędły te fantastyczne kwiaty, które niegdyś malowała. Ale ręka sama wędrowała po papierze, jakby ją ktoś prowadził i wiedział z góry, co wyjdzie, i już nie rozmyślając Marta moczyła pędzelek w tej lub w tamtej farbie, pewnie kontrastując kolory. Tak powolutku zaczął na papierze pojawiać się wielki żółty ptak pokryty białymi drobnymi kwiatkami o wesołych zielonych ludzkich oczach; ptaka okalały czerwone liście. Później Marta śmiało i wprawnie otoczyła ptaka i listowie ciemnobrązowym konturem, połączwszy liście giętkimi niebieskimi gałązkami. Właśnie

wtedy przyszła do niej sąsiadka, aby pożyczyć zapalek. Wirka-żołnierka ujrzawszy przedziwny rysunek zaklaskała z zachwytu:

— Oj, Martusiu, daj mi tego ptaka... Jest taki ładny!

Data jej Marta obrazek, chociaż nie lubiła Wirki za paskudny charakter i plotkarstwo, wszelako było Marcie przyjemnie, że jej obrazek spodobał się komuś. Niezadługo poszedł słuch po wiosce, że Wirka-żołnierka zaższa w ciążę. I chociaż jej mąż nie powrócił z wojska, i choć nie wiadomo było, z kim się zeszyła w Riabym Chutorze, to przecież chodziła po wsi z roześmianą twarzą chwalcąc się wobec wszystkich kobiet swoim brzuchem. Tymczasem Marta nie wiedząc o niczym malowała nadal swoje obrazki: niebieską dwugarbną krowę z bokami zdobnymi w drobne białe kwiaty, różowego ptaka z ognem w czerwone i czarne kwiaty, albo też zielonego lwa o czerwonych oczach. Swoje obrazki Marta rozdawała sąsiadom, aby upiększali domy, bo niestety wydawnictwo „Mystectwo“ nie wydawało jeszcze w milionowych nakładach reprodukcji znanych obrazów. Wydawano też mało plakatów, szczególnie kolorowych. Wskutek tego obrazki Marty cieszyły się ogromnym powodzeniem.

I wiecie co, mili państwo? Prawie wszystkie kobiety, które mieszkały w tym zakątku, gdzie Marta, pozachodziły w ciążę i czuły się uszczęśliwione i wnet zaczęły się pierwsze hulanki na chrzcinach, i chaty napełniły się dziecięcym wrzaskiem, i zanuciły szczęśliwe matki kołysanki nad swoimi żabkami, kociątkami, ptaszynami — lwankami i Halkami.

Pierwszą wieść o cudownych właściwościach obrazków Marty puściła Wirka-żołnierka wiadomo po co: aby przykryć swój wstyd, aby nikt się nie dopytywał, skąd wykombinowała sobie dziecko: z jakimś bohaterem Wojny Narodowej, a może z jakimś małoletnim wioskowym pętakiem? Wirka-żołnierka zaczęła wszędzie szeptać, że to Marta, widzicie, taka czarownica, że ona, czyli Wirka-

-żołnierka, zapomniała całkowicie, jak mężczyzna wygląda, a przecież, patrzcie — jak tylko zjawił się w jej izbie ptak Marty, to od razu poczuła, że w jej łonie poczęło się poruszać dzieciątko. Zaczęły więc baby biegać do Marty i prosić o obrazki — drzwi się za nimi nie zamykały. Niektóre nawet zaczęły proponować pieniądze za malunki, ale Marta nie brała. Prosiła, aby przynosili jej, jeśli komuś nie szkoda wydatku, papier i gwasz, bo pudełko tych farb kosztowało drogo — 16 rubli na stare pieniądze. Zaczęły przychodzić kobiety nawet z sąsiednich wiosek, bo i tam ludzie usłyszeli o dziwnych właściwościach jej obrazków. Marta, kiedy dowiedziała się o przyczynach zainteresowania jej malowidłami, prosiła kobiety, żeby swojemu dziecku, jeśli to będzie syn, dały na imię Wasylko. Narodziły kobiety w okolicach Jaropola takie mnóstwo Wasylków, że później, po osiemnastu latach, kiedy zaczął się pobór do wojska, w RKU łapali się za głowy: co chłopiec, to Wasylko.

I tu, moi kochani czytelnicy, muszę się zastrzec, że osobiście nie bardzo wierzę w antynaukowe bzdurzenie Wirki-żołnierki. O tym, że to nie tak, przekonują mnie dwa podstawowe fakty:

Po pierwsze: przecież gdyby jej obrazki były naprawdę takie cudowne, to czyżby sama Marta nie urodziła dziecka?

I po drugie: usłyszał o tych, powiedzmy, partenogenetycznych właściwościach obrazków Marty nasz działacz społeczny, zasłużony emeryt S.O. Nabokow. Z własnej woli przyjechał do Riabego Chutoru, odszukał Martę Poliszczuk i wyprosił od niej obrazek — nie dla siebie, co jest oczywiste, bo sam S.O. Nabokow surowo przestrzegał wszystkich norm moralnych, lecz dla ukochanej córki, która zmieniła już trzech mężów, a nie miała dziecka i nawet sam kijowski profesor Ołeksandr Judymowycz Lurie nic nie mógł zaradzić; ten smutny fakt był dla S.O. Nabokowa bardzo przykry, ponieważ kończyła

się sławna dynastia Nabokowów i nie było komu przekazać sztafety pokoleń. Otóż wbrew temu, że walczył S.O. Nabokow z różnymi zabobonami wśród wstecznych warstw ludności, tym razem postanowił sprawdzić osobiście — a jeżeli przekłete baby z Riabego Chutoru nie kłamią? Marta akurat nie miała świeżych malunków, wtedy S.O. Nabokow wycygnął od niej jeden z tych przedwojennych, które znalazł Komsomolec w zgłiszczach. I o tym fakcie dowiedział się dociekliwy działacz. Malunek nie spodobał mu się — jakaś prymitywna mazanina, atematyczne plamy — to nie obraży Ajwazowskiego czy Galaktionowa-Chmary. Po przyjeździe do domu postanowił od razu sprawdzić antyogniowe właściwości obrazka. Ostrożnie odciął nożyczkami od obrazka, który rzekomo nie spłonął w pożarze, skrawek pożółkłego papieru i przytknął zapalną. Papier najspokojniej w świetle spalił się, tak że w ręku S.O. Nabokowa zostały zwęglone szczątki. Rzecz jasna, pomyślał wzdychając S.O. Nabokow, obrazek nie jest wart funta kłaków, ale na wszelki wypadek umieścił obrazek w pokoju córki — właśnie wyszła za mąż po raz czwarty. Rzucił obrazek pod łóżko — ale nic z tego! Nie było żadnych skutków.

Tak przekonywająco zdementowano mit o malowidłach Marty.

Aliści obrazkami zainteresowano się w Jaropolu — ich walorami artystycznymi. Jednemu z młodych i pełnych odkrywczej pasji krytyków sztuki przyszedł do głowy pomysł urządzenia w Jaropolu wystawy obrazków Marty Poliszczuk, chociaż niektórzy, a nawet nasz zasłużony emeryt, szepotali chłopcu na ucho, aby tego nie robił, bo żadnych wartości artystycznych te malunki nie mają, na odwrót — jest to jedynie zohydowanie i deformacja realnie istniejącego świata. Przecież, powiadano, w żadnym ogrodzie zoologicznym świata nie zobaczycie zielonego lwa z czerwonymi oczami. Ale chłopiec nie posłuchał rad i wystawę urządzono.

I tu trafiła się nie lada okazja. Walery Orłyk zrobił program telewizyjny w kolorze o obrazkach Marty Poliszczuk i jej losie — program nadawano przez Interwizję i Eurowizję i miliony ludzi zobaczyło malowidła Marty Poliszczuk, a wielu miało w oczach łzy — nie wiadomo dlaczego — z radości, czy z czystego smutku. Ten program obejrzał także były policjant Prokip Korobka, który mieszkał sobie w niemieckim mieście Resselheim, a pracował jako monter w fabryce Opla należącej do firmy General Motors. Jakby ktoś wbił nóż w serce Prokipa Korobki, kiedy zobaczył postarzałą Martę, którą od dawna uważał za zmarłą, kiedy usłyszał jej głos, spojrzął na jej obrazki, zobaczył nowe ładne domy w Riabym Chutorze, a w domach telewizory, radia, magnetofony i adaptory. Prokip Korobka przypomniał sobie wówczas swój patefon, którym niezmiernie się pysznił, wspominał tę noc, kiedy klęczał przed Martą — i wyszedł do najbliższej apteki, kupił dwie fiołki tabletek nasennych i powróciwszy w strugach niemieckiego deszczu do swojego pokoju, zażył na raz czterdzieści tabletek. W ten sposób firma utraciła montera, który na taśmie zakręcał śrubki 13 mm na tylnym pomoście samochodów marki „Kadet”.

Miliony zobaczyły czyste obrazki Marty Poliszczuk — i sława malarki rozeszła się daleko poza granicami naszego kraju. Na wielkiej paryskiej wystawie „malarstwa naiwnego”, gdzie pokazano również retrospektywną ekspozycję obrazów Celnika Rousseau i Łemka Nikifora, Marta Poliszczuk otrzymała Wielką Nagrodę — złotego lwa ze szmaragdowymi oczami. Również i u nas w Jarpolu uhonorowano ją złotym medalem z tłoczonym profilem Tarasa Szewczenki. Po tych wydarzeniach jej obrazki niewiarygodnie podrożały. Amatorzy malarstwa i kolekcjonerzy, a czasem zwykli spryciarze rzucili się do Riabego Chutoru i dalej wędrować po domach i skupywać obrazki Marty Poliszczuk. Ale prawie nikt nie sprzedał tych obrazków za żadne pieniądze, a Wirka-żołnier-

ka, która miała już troje dzieci — blondyna, bruneta i rudzielca, nawet wypędziła z domu nieproszonych gości. Żółty ptak Marty Poliszczuk wisiał w ramce od ikony w złotej koszulce w kącie przybrany wyszywanyymi ręcznikami. Nawet S.O. Nabokow, nawet on nareszcie uznał Martę Poliszczuk, przeczytawszy w centralnych gazetach o jej nagrodzie. Przypomniawszy sobie, że ma unikalny obrazek Marty — zaczął szukać pod łóżkiem, pod kredensem, na antresolach — ale na próżno. Okazuje się, że ukochana córeczka S.O. Nabokowa wyrzuciła ten malunek na śmietnik z innymi rupieciami.

A Marcie dawały się we znaki stare rany i chodziła teraz opierając się na kuli. Było jej ciężko nosić wodę ze złodowaciałej studni, rąbać drwa, o świcie doić krowę. A ile kłopotu miała Marta z gośćmi — ojej, z jakich tylko stron nie przyjeżdżali! Prawie cały zarobek Marty szedł teraz na przyjmowanie gości, a szczególnie tych brodatych filmowców w zamszowych kurtkach, którzy nieprzerwanie kręcili w Riabym Chutorze swoje filmy i zmuszali Martę, aby powtarzała historię swojego życia.

Z tego też powodu niektórym naszym wpływowym rodakom, a przede wszystkim A.W. Mykitysiowi, wpadła do głowy taka oto humanitarna myśl: osiedlić Martę w Jaropolu, w wielkim centrum kulturalnym, gdzie życie płynie wartkim strumieniem, gdzie cały czas dzieją się jakieś ważne wydarzenia w sztuce — ot chociażby niedawno otwarto wystawę dzieł D.W. Smahlija, członka Jaropolskiego oddziału związku artystów plastyków. A w tym celu trzeba przydzielić ludowej malarce Marcie Poliszczuk, laureatce wielu nagród, samodzielne dwupokojowe mieszkanie dla umożliwienia pracy twórczej i dla polepszenia warunków życiowych.

Namówiono wreszcie Martę, aby przeniosła się do Jaropola argumentując, że będzie tam i winda, i centralne ogrzewanie, i gorąca woda całą dobę, i zsypana śmieci, i sklep spożywczy obok, i przychodnia plastyków, gdzie

są dobrzy lekarze, i gabinet fizykoterapii. Krótko mówiąc — zgodziła się Marta. I rzeczywiście — dano jej bardzo dobre mieszkanie w nowej dzielnicy mieszkaniowej — na tak zwanych „Jaropolskich Czeremuskach”. W dużym pokoju urządziła sobie Marta pracownię, a w mniejszym spała. Tylko że w żaden sposób nie mogła się przyzwycząić do naszego miasta. Ież to razy błąkała się między standardowymi budynkami, nie mogąc znaleźć swojego domu, tak że musiała prosić o pomoc przechodniów. Nie mogła się także przyzwycząić do swojego mieszkania. Dlatego też, kiedy otrzymała honorarium za serię nowych obrazków, zawołała murarzy i kazała im zamurować wielkie okno w sypialni i zrobić maleńkie jak w wiejskiej chałupie, i jeszcze kazała pośrodku pokoju postawić wielki piec, żeby można było na nim leżeć i wygrzewać stare rany; do pieca wmontowano elektrokaloryfer z termoregulatorem. Mieszkanie zaścieliła kilimami i dywanikami, na łóżku ułożyła stertę poduszek w wyszywanych powłóczkach, a nad łóżkiem zawiesiła zestaw fotografii w ogromnej ramie, gdzie zmieściło się całe jej życie: oto mała dziewczynka stoi razem z tatą, mamą i dwoma braćmi — na tle białej altanki namalowanej na płótnie, oto jej ślubne zdjęcie razem z Komsomolcem — mąż pochyla ku niej głowę, ubrany jest w lichutką cajtową marynarkę z trzema znaczkami w klapie — MOPR-u, Stowarzyszenia Przyjaciół Żołnierza i sztandarem Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży, a oto zdjęcie ich trojga — przed samą wojną: Wasylko ma przestraszony wyraz twarzy, bo fotograf powiedział mu, że z aparatu wyleci ptaszek, więc chłopczyk czekał w napięciu, aż wyleci i kiedy zrozumiał, że został oszukany, gorzko zapłakał; oto grupa partyzantów, a wśród nich Komsomolec ze starą strzelbą, wszyscy w czapkach baranich ze wstążkami na ukos, chudzi i wymizerowani jak trawa we wrześniu; oto Marta przed swoim nowym domem, który zbudowali jej współmiesz-

kańcy, jakaś zagubiona i zażenowana; a oto odsłonięcie pomnika Komsomolca — stoi na postumencie wesoły i młody, uśmiecha się jakby nie było wojny, jakby w ogóle nie spalono Riabego Chutoru, a koło cokołu pomnika wśród kobiet, które płaczą — Marta z mrocznym, znużonym wyrazem twarzy, zmarniała i stara. Oto Marta obok Przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR, a oto ona w Paryżu — rozmawia z prezydentem Francji. Całe jej życie zmieściło się pod szkłem w jednej ramie na piętnastu arkusikach papieru fotograficznego.

Pewnego jaropolskiego poranka, kiedy padał śnieg i od razu czerniał pod nogami przechodniów i kołami samochodów, Marta przypomniała sobie, jak wylatywały z cerkwi miliony białych motyli, zostawiając po sobie złotawy pył i delikatny szmer, jakby ktoś szeleścił jedwabiem. Zebrała swój dobytek do szarej fibrowej walizki, włożyła tam fotografie i obrazki i kuśtykając poczłapała na stację autobusową. Przyjechała do Riabego Chutoru, otworzyła drzwi swojej chaty i długo stała na progu, chociaż żadne białe motyle z chaty nie wylatywały. Marta Poliszczuk powróciła na zawsze do Riabego Chutoru — i od tego czasu już nigdzie nie wyjeżdżała ze wsi. Maluje sobie swoje obrazki, kłóci się, bywa, z Wirką-żołnierką, która ma już aż ośmiu urwipołciów, grzebie trochę w ogródku i chodzi pod pomnik Komsomolca, aby podlewać kwiaty.

Ludzie mówią, że widzieli pewnego razu, jak Marta sadziła w ziemi siwe piórko gołębia — tylko nikt nie rozumiał, po co jej to?

Rozdział siódmy,
w którym trafiamy od razu na bokerskie mistrzostwa Europy akurat w tym tragicznym momencie, kiedy znokautowano Jarosława Hamaliję; zaczynamy również rozumieć tajemnicze okoliczności, które spowodowały jego przegraną i z którymi w żaden sposób nie może się pogodzić stary Dworzak.

I znowu leży na ringu twarzą do szorstkiej śmierdzącej podłogi i wie, że to jego ostatnia walka, że wyśmiewa się z niego cała Europa. Mówił mu Wiaczek Dworzak, aby w drugiej rundzie nie szedł do zwarcia, aby trzymał się od tego Meissnera z daleka, oszczędzał siły i dopiero w trzeciej rundzie próbował szczęścia, kiedy wystarczyłoby mu kilka celnych ciosów, aby zwyciężyć Meissnera na punkty i wejść do finału. Ale nagle zamroczyło go, jakby jego volkswagen uderzył raptem w przejrzystą ścianę, która przecięła mu zniecka drogę; ucicha ryk, wycie, wrzask na trybunach, gwizd syren, bicie bębnow, harmider, okrzyki. Powoli wszystko to w nim umiera: pustoszeje lotnisko, odlatują bez słowa, jak ryby, ogromne samoloty — ostatnie samoloty tej walki, cisza niby mgła osiada na betonowych pasach, milczenie, bezruch. I czyjś okrutny głos, daleki jak głos Niebiańskiego Dyspozytora, który odsyłał samoloty do nieba, wymawia z wysokości swój ostateczny werdykt:

One! Two! Three! Four!

A on leży na ringu, pokonany i pusty, w błyskach reporterskich fleszów. Nowa przegrana faworyta! Nowa przegrana nadziei europejskiego boksu! Jarosław Hamalija porzuca boks! Nowa sensacyjna porażka niezwykłego boksera!

A on leży na dalekim wiedeńskim ringu, a u nas w Jaropolu — żałoba i powszechny płacz: operatorzy tele-

wizji pokazują szczęśliwe oblicze Meissnera, któremu trener zarzucił na ramiona szlafrok. Meissner posyła ręką pocałunki; jego nienaganny przedziałek pozostał w idealnym stanie nawet po takiej walce. Hamalija, zakrwawiony, stoi zgięty w kolanach, koło niego krząta się stary Wiaczek, a Jarosław wbił tępe oczy w podłogę zaścieloną brezentem i nie może się wyprostować. Ale spójrzcie, jacy szlachetni ludzie z tych operatorów telewizyjnych! Wstydliwie odwracają obiektywy kamer od tego widoku, nieznośnego dla każdego jaropolanina, ich elektronowe spojrzenia błędzą po „Sporthalle“ wychytując jeno ładne dziewczyny, przystojnych chłopców, czy bogobojnych staruszków w modnych krawatach; chusteczki tego samego koloru sterczą im z lewych kieszonek marynarek: ci modni staruszkowie ze złotymi spinkami należą do potężnej sekty miłośników krwi — sekta ta powstała jeszcze w czasach cesarów i pierwszych walk gladiatorów. Gdyby nie było ich, tych sędziwych młodzieńców, na czym opierałaby się taka męska sprawa jak boks? Przyjadą owi siwi panowie w swoich alfa-romeo i mercedesach do hoteli, wyjmą sztuczne szczęki, włożą je do higienicznych fajansowych kubków i nie zasną wspominając te dawne czasy, kiedy nosili jeszcze jedwabne cylindry, robili różne kawały w zakładach madame Michaut i nieśli na rękach samego Zbyszka Cyganiewicza. Nie ma, panowie, fiakrów, nie ma dziewcząt waszej młodości, nie ma Zbyszka Cyganiewicza — jest benzyna, chłodne czyste hotele po 10 dolarów na dobę, jest bezsenność — stała i nieuleczalna jak skleroza, która przeistacza się powoli w niebyt.

Ale rozgadałem się niemiłosiernie, bo już jestem stary, za co was grzecznie przepraszam, moi młodzi czytelnicy, i damę słowo, że wrócę do tematu mojej dzisiejszej opowieści licząc na waszą wdzięczną uwagę.

Jarosław Hamalija poszedł pod natrysk. Posępne przejścia, konstrukcje stalowe, na których trzyma się

„Sporthalle“, zapach stajni — to wszystko nie wywoływało w nim nawet odrazy, nawet zwykłego zdziwienia, które towarzyszyło mu zawsze w tych samotnych wędrówkach: po co to wszystko? Jakim cudem znalazł się tutaj, w tym hałaśliwym tymczasowym świecie? Chyba po to, aby pokazywano go palcami — patrzcie, czy to ten Hamalija, który znokautował samego Floyda Jacksona — czarną gwiazdę, jednego z najlepszych zawodowych bokserów świata? Blaszyany wrzask trybun wstrząsa podziemnym wnętrzem sali sportowej. Czyżby dla tego wrzasku przyszedł do tej stajni, gdzie śmierdzi potem i skórą? Bo tam wszędzie pot i skóra — rękawice bokerskie, grusze i worki treningowe, i ciężkie piłki — antypilki, które nie podskakują i nie toczą się lekko po podłodze, lecz leżą w kącie jak czarne hantle przyprószone pyłem. Jarosław opadł ciężko na niską ławkę w lśniącej kafelkami szatni — wrzask tłumu ucichł, natomiast obok w kabinie rozległ się bulgot ciepłych strumieni wody, który uniósł w sobie zapowiedź pieśczości i spokoju. Jarosław zauważył ze zdziwieniem, że Wiaczek schylił się nad nim i rozwija bandaż z jego rąk — pięści Hamalii tracą powoli swoje giętkie rusztowanie, stają się coraz bardziej miękkie — z rozkoszą poruszył zdrętwiałymi czerwonymi palcami i automatycznie zrzucił z nóg buty przyprószone białą warstwą kalafonii. Wiaczek związał bandaż w milczeniu. Do szatni zajrzał lekarz i spojrzał pytająco na Jarosława, ale Wiaczek pokręcił przecząco głową i drzwi zamknęły się. Rozebrany zupełnie Jarosław przeszedł obok trenera omal nie zaczepiając go kościstym ramieniem, za którym zwykł był chować głowę przed s w i n g a m i, i roztąjał w białej parze pachnącej lawendowym mydłem. Długo stał pod prysznicem — zdawało mu się, że dwie lub trzy godziny, ale tylko Wiaczek wiedział, że ta procedura trwała zaledwie dwadzieścia minut. Wiaczek nie zdziwiłby się jednak, gdyby mu oznajmiono, że jego podopieczny po-

starzał się w ciągu tych minut o kilka lat, bo wiedział, co to znaczy nokaut i jak powoli po tym wstrząsie płynie czas: bez myśli i wspomnień, po prostu Czas, abstrakcyjny i niezrozumiały — w całej swej nagiej, nie-ludzkiej istocie.

Wyszli nareszcie obaj, nie mówiąc do siebie ani słowa, z labiryntów „Sporthalle“. Obok wyjścia służbowego czekało kilku reporterów, którzy w milczeniu pstryknęli kilka zdjęć do dzisiejszych gazet wieczornych; Jarosław i Wiaczek poszli na parking, gdzie zostawili swego volkswagena. Jarosław już usiadł za kierownicą, ale Wiaczek odsunął go i sam usiadł na miejscu kierowcy włączając od razu stacyjkę. Motor odezwał się cichym warkotem i dźwięk ten był uspokajający jak pluskanie wody w duszy. Jarosława aż zaboląły palce, tak chciał uchwycić kierownicę, ale nie odważył się powiedzieć ani słowa do Wiaczka, który już powoli zdejmował nogę z pedału sprzęgła.

Volkswagen lekko ruszył z miejsca.

— Znowu to zrobisz? — zapytał Wiaczek.

— Tak — odrzekł Jarosław.

Wiaczek pamiętał to miasto z 1914 roku, kiedy jako żołnierz armii Franciszka Józefa trafił tutaj do koszar. O, te wiedeńskie orkiestry dęte! Marsze płynęły w powietrzu wrześnie, wesołe, beztroskie marsze operetkowego imperium, które nie zaznało prawdziwej wojny. Siwi urzędnicy w melonikach przykładali chusteczki do oczu, zraszając je patriotycznymi łzami, a czarno-białe zakonnice częstowały żołnierzy kawą na dworcu. Ich dywizja przystępowała do komunii przed wejściem do wagonów pierwszej klasy, podobnych trochę do hrabiowskich karet — ze stopniami ciągnącymi się wzdłuż całego wagonu, z niezliczoną ilością drzwi, które zawsze się mylą, kiedy w pośpiechu szuka się własnego przedziału. Nic nie szkodzi, wąsaty feldfelbel pokaże ci twoje miejsce, żołnierzu Wiaczestawie Dworzak.

Lecz wkrótce wścasi feldfebowie zaczęli szanować (a w ich języku znaczyło to: bać się) tego żyłastego drobnego żołnierzyka stojącego zawsze w ostatnim szeregu: miał najsilniejszy cios na całych Morawach, skąd pochodził, i najwytrzymalsze w całej dywizji serce, bo tylko on był w stanie podczas wycofywania się w Galicji nieść na plecach tego drania — sudeckiego masarza Kabatchka. Wówczas Dworzak nie mógł oczywiście wiedzieć, że przyjdzie mu spotkać się w 1941 roku w Jaropolu z synem owego Kabatchka, który leżał jak zarżnięta świnia na jego grzbiecie oddychając ochryple, a Dworzak brnął po kolana w błocie obesranym przez pruską kawalerię. Kiedy wreszcie Dworzak zrzucił z grzbietu Kabatchka w lazarecie polowym, na jego płaszczu z tyłu pozostała czerwona plama jak na suficie po obfitym deszczu. Plama była także na frenczu i na koszuli. Mój Boże, czy mógł przewidzieć Dworzak, że spotka się z synem tego łajdaka — i to gdzie? W jakimś nieznanym Jaropolu, który wyłonił się w świadomości Dworzaka dopiero po ranie pod Przemyślem: obce czarne pola, rozległy kraj, spustoszony przez jesień, kupiecko-mieszczańskie miasteczko, stary dworzec z basztami pokrytymi zieloną rybią łuską, rewirowy w malinowym kaszkiecie włóczy groźnie szablę po peronie, a gimnazjaliści gapią się, jak z „cielętników“ siostry z Czerwonego Krzyża wynoszą rannych Austriaków.

Nigdy nie będziesz czempionem — burknął Wiaczek.
— Tak — zgodził się z nim Jarosław.

Pędzili po szosie w kierunku Pragi, bo właściwie nie było po co zatrzymywać się w Wiedniu, i teraz za kierownicą siedział Jarosław.

Od czego zaczęły się porażki? Był taki sam wieczór i tak samo błyszczała szosa, kiedy powracał swoim volkswagenem z Krakowa do Katowic. Nie było tylko Wiaczka, bo chorował i pozostał w Jaropolu i nie było go na tamtych mistrzostwach Europy. Wiaczek nie po-

zwoliliby tego zrobić Jarosławowi. Mistrzostwa Europy były rozgrywane w Katowicach, gdzie stoją betonowe budowle, w których szare powierzchnie wpił się jak ospa czarny pył węglowy, gdzie tłoczą się ludzie na ulicy 3-go Maja, gdzie tramwaje wloką się w tłumie obwieszane pasażerami jak statki morskie małżami. Jarosław błąkał się niespokojnie po mieście — w szkle wystaw mnożyło się jego odbicie, rozsypywało się na części, gubiąc się wśród złotych i czarnych napisów, wśród alabastrowych uśmiechów i tanich zielonych płaszczy. Wstąpił do domu towarowego „Zenit”, ale poczuł się jeszcze gorzej — był zbyt samotny w tym trywialnym świecie komercji, wśród obcego gwaru, obcych ludzi, obcych pieniędzy. I dlatego ograniczył się do parteru, gdzie kupił sobie nie wiadomo po co niebieski flamaster za 100 złotych — ołówek z filcowym knotem, który pozostawiał na papierze jasnoniebieską linię. Miał dwa dni wolne — łatwo wszedł do finału i nikt nie wątpił w to, że zostanie mistrzem Europy: akurat przed mistrzostwami znokoutował Filloyda Jacksona, a walkę z Meissnerem trzeba było przerwać w pierwszej rundzie ze względu na miazdzącą przewagę Hamalii. Wyszedł z PDT-u i skręcając na prawo podążył do hotelu „Katowice”, gdzie stał jego volkswagen. Poszukał w notesie adresu swojego starego znajomego, doktora Mojzesa, który mieszkał w Krakowie.

— Nigdy ci tego nie wybaczę — powiedział Wiaczek.

— Rozumiem — odrzekł Jarosław.

Dworzak pamięta tego chłopca od pierwszego dnia, od czasu, kiedy wiele lat temu przyszedł do hali bokserskiej. W celach wychowawczych Wiaczek postanowił pokazać nowicjuszm, czym jest boks i czym różni się od zwyczajnej bójki ulicznej. Kazał jednemu z chłopców trenujących już dwa lata wyjść na ring. Jarosław, chłopak lekko przygarbiony, wszedł na ring i pierwsze, co uczynił, to pomacał rękawicami sznury, czy są dobrze

napięte. Zawsze go interesowały te sznury; z czego są zrobione? Jego partner przygotował się do walki. Obydwaj, jak prawdziwi bokserzy, podali sobie dłonie w rękawicach i Wiaczek uderzył małym młotkiem w mosiężną łuskę pocisku przeciwlotniczego. Bom! Pierwsza runda. Nowicjusz stał odsłonięty ledwie uginając ręce w łokciach. Właściwie była to postawa dobra, ale nie dla takiego smarkacza. Wychowanek Dworzaka walczył z odwrotnej pozycji; rozpoczął atak według wszelkich zasad sztuki bokserskiej: dwa lekkie ciosy w głowę odciągające uwagę i jeden w korpus z unikiem w lewo. Ale straszliwy cios prawym prostym w głowę powalił go na podłogę, Jarosław zaś, nic z tego nie rozumiejąc, nachylił się nad leżącym. Chłopiec wstał i poszedł odpluwać krew do specjalnej białej miski z wodą: pływały już tam czerwone plwociny. Nie miał jeszcze wtedy Jarosław specjalnych elastycznych bandaży, a palce bandażował zielonymi wstążkami używanymi przez dziewczęta. Po tej walce Dworzak, którego chłopcy nazywali po prostu Wiaczkiem, podarował Jarosławowi rękawice, z których wyłaziło końskie włosie. Nowicjusza od razu przezwano „Farciarz“, bo nie musiał biegać do białej miski, w której zawsze była woda.

— Nie mogłem inaczej — powiedział Jarosław. — Po prostu nie mogłem.

Dworzak nic na to nie odpowiedział.

Był taki sam wieczór, taka sama szosa, po której można pędzić z szybkością 140 kilometrów na godzinę, a on powracał z Krakowa do Katowic. Doktor Mojzes nie chciał go wypuścić na noc, ale Jarosław musiał za wszelką cenę znaleźć się w hotelu, bo starszy trener wścikiłby się, gdyby nie znalazł go w numerze. Włączył radio. Takie samotne wieczory na szosie darzyły go czasem chwilami szczęścia — pełnego i absolutnego, kiedy nie trzeba nikogo bić, umyślnie rozpalając w sobie nienawiść do przeciwnika, kiedy nie trzeba z nikim plotko-



wać ani śmiać się z czyichś głupich dowcipów czy łącać komuś, że się kocha boks za to, iż jest sportem ludzi silnych i odważnych, czy wystłuchiwać czyichś pochlebstw, że jest przyszłym Joe Luisem, i innych bzdur. Jarosław spokojnie włączał i wyłączał światła, bo dzień skończył się nad tymi szopenowskimi pejzażami — nad kapliczkami i kościółkami z czerwonej cegły, nad prowincjonalnymi miasteczkami, gdzie obojętne napisy PKO podkreślają tylko pustkę ulic, bo ludzie poszli już spać, bo wstają bardzo wcześnie do pracy. Jego volkswagen mknął przez zagajniki — samotne świerczki na piaszczystym gruncie rozdziły myśli o pospolitych ruszeniach i nie kończących się podziałach tych ziem. Gdzieś w nocnych warstwach ziemi i nieba migotały ogniki dalekich osad wiejskich; grał jazz, a potem ktoś składał życzenia z okazji urodzin, ukochanej mamusi życzyły wszystkiego najlepszego córki Grażyna, Alicja i Małgosia. Orkiestra zagrała starą jak świat melodię Duke'a Ellingtona *Karawana* — smutny dźwięk srebrnej trąbki przedarł się przez noc i usiadł na antenie. To nie była nawet trąbka, lecz ptak, który wpadł do środka volkswagena i tłukł się teraz o szybę wywietrznika nie mogąc wyrwać się z ciepłego zacisza. Mżawka polakierowała szosę, usiała szybę kropelkami i szosa błyszczała czerwonym i białym szkłem. Zmniejszył szybkość do 80 kilometrów; panią Marię i Józefa Kowalskich pozdrawiały dzieci i wnuki z okazji złotego wesela i życzyły zdrowia, szczęścia i wielu, wielu lat życia w spokoju i zadowoleniu.

I raptem Jarosław zobaczył to. Zahamował gwałtownie i jego wóz przejechałszy z dziesięć metrów po śliskim asfalcie zatrzymał się.

— Szmata z ciebie, żałosna szmata — wściekał się Wiaczek. — Przegrałeś największą stawkę w swoim życiu. Była to ostatnia twoja szansa.

— Wiem — powiedział Jarosław.

Przecież to najlepszy bokser na świecie, pomyślał z

rozpaczą Dworzak. Powinien był nim zostać, poprawił się stary trener. Dworzak wiedział to doskonale: była to nie tylko prawda przekraczająca możliwości poznawcze rozumu, była to prawda, którą stary Wiaczek gotów był udowodnić nie tylko za pomocą skomplikowanych logicznych wywodów, lecz także konkretną praktyką mistrzostw Europy i świata. Stary Dworzak, jak Tomasz z Akwinu, zbudował skomplikowany sofistyczny system natchnionych dowodów niezwykłości Jarosława Hamalii w boksie światowym, ale system ten rozpadł się na proszek pod ciosami Meissnera, boksera bardzo przeciętnego, typowego *self-made mana*. Był to bokser spod znaku Potu, a nie Powołania Losu, spod sztandaru Mocnej Szczęki, a nie Błyskotliwej Kombinacji. Stary trener stwierdził, że teraz nic go już nie wiąże z Jaropolem, gdzie przeżył prawie sześćdziesiąt lat: jego żona powędrowała do Czarnego Jaru, bo tak rozkazał oberleutnant Kabatchek, dzieci Dworzaka rozeszły się po świecie, a teraz i ten chłopiec — najbliższy, ostatni i dlatego najmilszy mu człowiek — zdradził go. Wiaczek skurczył się na fotelu, zrobił się jeszcze drobniejszy, siwy i pomarszczony.

Tak, wszystko zaczęło się wtedy, kiedy zgrzyt hamulców na szosie gdzieś za Starym Bieruniem gwałtownie przerwał krótkie chwile szczęścia, jakby ich nie było wcale: w poprzek szosy stała ciężarówka star — pusta, chociaż motor działał, a koło niej paliła się mała syrenka, doszczętnie rozbita, z otwartą maską, zgnieciona jak papier. Lewe koło syrenki odtoczyło się o kilka metrów i leżało na samym skraju pobocza. Szosa była usłana odpryskami szkła. Jarosław pobiegł do syrenki i wyciągnął z niej nieprzytomną dziewczynę. Nikogo więcej nie było na szosie — szofer stara albo uciekł, albo poranny poczołgał gdzieś daleko. Była zupełna cisza, trzaskał tylko ogień zabarwiający szosę ciepłym kolorem czerwieni i szeptał sypki deszcz. Jarosław ułożył dziewczynę w volkswagenie na tylnym siedzeniu i ruszył z

miejsca, objeżdżając ostrożnie ciężarówkę, aby samemu nie zjechać na pobocze. W szpitalu przyjrzał się po raz pierwszy dziewczynie — nie jęczała nawet, kiedy ją śpiesznie rozbierano krojąc nożycami popaloną odzież (po chłopięcemu krótko obcięte włosy, delikatna szyja, rozchylone spieczone wargi). Była zgrabna i wiotka jak kwiat. Dziewczynę zabrano do sali operacyjnej. Jarosław chciał już odjechać, ale wszedł zafrasowany chirurg i powiedział, że natychmiast potrzebna jest krew; bo stan dziewczyny pogorszył się, szok, oparzenia i upływ krwi. To mówiąc, pytająco spojrzął na Jarosława. Nie wiem, odrzekł całkowicie zagubiony Jarosław, drętwiejąc na samą myśl o... może weźmiecie ode mnie? Chirurg jakby czekał na tę odpowiedź — ucieszył się i powiedział, że zaraz sprawdzi grupę krwi pana z Ukrainy. Teraz tylko jedna myśl tłukła się Jarosławowi po głowie, żeby okazało się, iż jego krew jest inna niż u dziewczyny. Zrobił przecież wszystko, co mógł, a reszta jest dziełem przypadku. Jego sumienie będzie czyste, a krew — tu, jak powiadają Polacy, już t r u d n o... Ale chirurg oznajmił z zadowoleniem, że pan należy do kategorii uniwersalnych dawców, a jego krew — do najlepszej, zerowej grupy, którą można dać każdemu, i jeśli pan wyrazi łaskawie zgodę, to... To już koniec, pomyślał Jarosław. Jak skazaniec powlókł się do pokoju, gdzie wszystko było białe, sterylne i gdzie unosił się zapach jodu i jeszcze jakiegoś świństwa, gdzie stali lekarze w żółtych wymiętych fartuchach.

— Nie można być Jezusem Chrystusem i równocześnie uprawiać boks — mówił Wiaczek. — Chcesz połączyć obie te zupełnie ze sobą niezgodne profesje. Myślałem, że jesteś silny, a ty...

— A co byś zrobił na moim miejscu? — nie wytrzymał i krzyknął Jarosław wypuszczając nawet z rąk kierownicę. — Powiedz!

Oczywiście, stwierdził w duchu Dwórzak. Nie można

wygrać mistrzostw Europy, kiedy wypompowano z Ciebie dwie lub trzy szklanki krwi. Wiaczek nie pojechał wtedy do Katowic — i na tym polegało największe nieszczęście, bo jakby tam był, nigdy by nie stało się coś takiego. Ale Wiaczek zachorował na zapalenie płuc, lekarze kategorycznie zabronili mu wyjazdu i Jarosław pojechał sam: na tym głównie polega nieszczęście, bo potem rzeczywiście trudno było chłopcu wyrwać się z żelaznego kręgu wydarzeń. Wiaczek obserwował walkę finałową w Katowicach na ekranie telewizora. Nie poznał Jarosława: już w pierwszej rundzie Jacek Michta kilkoma silnymi ciosami wyprowadził Jarosława z równowagi, zakłócił oddech, zmusił do klinczu, wymuszonego objęcia, kiedy człowiek wiesza się na szyi przeciwnika przeciągając czas, dopóki sędzia nie krzyknie: b r e k! Nikt w Jaropolu tak jasno i w tak oczywisty sposób nie rozumiał, że zbliża się katastrofa, ale staremu Dworzakowi zrobiło się niedobrze, zażył validol i wyłączył telewizor. Walka była przegrana już w pierwszej rundzie.

— Po jakiego diabła zrobiłeś to teraz? — zapytał Dworzak. — Przecież mi dałeś słowo...

— Wiesz co — warknął Jarosław zatrzymując volks-wagena. — Zbrzydły mi twoje modlitwy. Siadaj za kierownicą, a ja się zdrzemnę. Pozwól mi pospać.

Umościł się wygodnie na tylnym siedzeniu, nawet położył się i zamknął oczy. Nie mógł jednak spać.

Wszystkiemu był oczywiście winien ten przekłety chirurg. Bo to on ogłosił głupią notatkę w „Gazecie Robotniczej”, później przedrukowaną u nas:

Dziwny fenomen

Podczas katastrofy samochodowej w pobliżu Tych została ciężko ranna ob. Krystyna S., która oprócz tego uległa ciężkiemu poparzeniu II stopnia. Obywatel radziecki Jarosław Hamalija, znany bokser, który przywiózł ranną do

szpitala, zgodził się natychmiast oddać krew poszkodowanej. Ten szlachetny postępek uratował życie Krystynie S. Ale największe zdziwienie miejscowych lekarzy wywołał fakt, że poparzenia poszkodowanej zagoiły się niewiarygodnie szybko – w ciągu 3 dni. Badania przeprowadzone w Instytucie Hematologii im. Hirschfelda wykazały, że krew Jarosława Hamalii posiada szczególne właściwości lecznicze, ponieważ zawiera wielką liczbę antyciał przeciwoparzeniowych – specjalnej substancji białkowej przyspieszającej procesy gojenia się tkanek uszkodzonych przez ogień.

Stary kapeć, pomyślał o lekarzu rozdrażniony Jarosław. Czy ciągnął go ktoś za jęzor z tą sensacyjną wiadomością? Boże, ale wszczął się rejwach, kiedy tę notatkę przedrukowały „Izwiestija“! Nadeszło tysiące listów od poparzonych z prośbą, aby oddał swoją krew, zjawili się jacyś korespondenci z pism „Zdorowje“, „Znanije — siła“, „Wojowniczyj ateist“ — diabeł wie skąd — i zaczęło się!... Szkice, reportaże, korespondencje... Przyjechali lekarze z Kijowa i Moskwy, brali krew do badań — dużo krwi. Nareszcie staremu Wiaczkowi zbrzydło to wszystko do reszty i razem z Jarosławem ukryli się w Riabym Chutorze. Nikt nie wiedział, gdzie są. Jedynie kilku odpowiedzialnych pracowników federacji bokserkiej, odnoszących się bardzo nieprzychylnie do hałasu, który wszczął się wokół osoby Hamalii, znało miejsce ich kryjówki. Zbliżały się wiedeńskie mistrzostwa Europy w boksie i nie było żartów. Mieszkali w chacie nad samym brzegiem Bohunki: rankiem — świeże mleko, lekki bieg po piaszczystym, pustym jak okiem sięgnąć brzegu, specjalne ćwiczenia, odpoczynek, miód. Potem lekki sparring z Wiaczkim. W dębowym zagajniku wśród chłodu i zielonego zacisza urządzili zaimprovizowany ring, stary trener wkładał skórzany kask i robił się podobny do pilota-oblatywacza. Szlifowali z Jarosławem różne serie ciosów — szybkich i nieoczekiwanych

jak błysk kulistego pioruna... Czasem przyjeżdżali tu na sparring bokserzy, z którymi Hamalija toczył walkę przez sześć albo i dziesięć rund — dwa lub trzy razy dłużej niż jest to potrzebne w normie walk oficjalnych. Jarosław osiągnął wspaniałą formę. Dworzaka rozpieła duma — katowicka historia już nie powtórzy się więcej, bo pojedzie razem z nim. Nie będzie więc żadnych niespodzianek. A tu masz...

— Ona klęczała przede mną i to było ponad moje siły — powiedział Jarosław spoglądając na posiwiały kark Wiaczka i na jego czerwoną szyję, której nie miała się opalenizna — trener czerwieniał tylko na słońcu jak cegła wrzucona do pieca.

— Oni zawsze będą przed tobą klęzeli! — krzyknął ze złością Dworzak. — Będą całować cię po nogach, ale czy lżej od tego?! Zaszczyt dla kraju, twój honor są warte więcej niż ich płacz i łzy. Co ich obchodzis ty, co ich obchodzi twój własny los, im jest potrzebna tylko twoja krew. A ty, głupi mięczaku, słuchasz ich, zamiast posłać do...

Na punkcie granicznym młody lejtnant po sprawdzeniu dokumentów Dworzaka i Hamalii zasalutowali, a potem powiedział:

— Co się z wami stało, towarzyszu Hamalija... Kibicowaliśmy przecież panu...

— Tak wyszło — odrzekł ponuro Jarosław. — Boks to taka dziwna rzecz.

— Szerokiej drogi — zasalutował jeszcze raz oficer. Tak wyszło. Tak wyszło i nic nie da się tu zrobić. Bo wieczorem, przed samym wyjazdem do Wiednia, kiedy już znaleźli się w Jaropolu, a Wiaczek opuścił go na kilka godzin, aby spakować rzeczy, do Jarosława zapukała jakaś kobieta. Kiedy weszła do przedpokoju, zrozumiał od razu, po co przyszła: nieszczęście odciska na ludziach jednakowe piętno. Istnieje standardowa wi-

zytówka nieszczęścia, a on ostatnio aż za często oglądał te wizytówki.

— Błagam — zawołała kobieta i uknęła. Była stara, w podartym płaszczu, z tobołkiem w rękę. Przyjechała z Kiemierowa, gdzie jej synowi pracującemu w kombinacie metalurgicznym zdarzyło się nieszczęście: oblał go metal podczas wytopu, a teraz leży w szpitalu. Lekarze powiedzieli, że nie ma nadziei na uratowanie chłopca. Wyjęła fotografię syna i pokazała Jarosławowi: chłopak dorodny, wrócił dopiero co z wojska, ożenił się, mają córeczkę, nie pije i nie pali.

— Nie mogę, proszę mi wybaczyć i zrozumieć — rzekł Jarosław. — W tej chwili odjeżdżam i nie mogę. — Wstyd mu było powiedzieć, dokąd i po co jedzie, bo — stara, nieszczęśliwa kobieta nie rozumiałaby i tak — co to znaczy Wiedeń, uroczysty marsz, hymny, kolorowe flagi, biały ring i eleganckie mordobicie. Rozumiała tylko jedno na świecie: umierał jej syn. Znów upadła na kolana, węzełek rozwiązał się i wysypał się z niego jej skromny dobytek: mydelniczka, pieniądze w chusteczce do nosa, kawałek taniej kiełbasy i kromka chleba, gumowa zabawka — doktor Ojboli — kupiona chyba dla wnuczki, stare okulary i podarty dowód osobisty. Wtedy Jarosław zarzucił coś na siebie i popędził z kobietą do stacji krwiodawstwa.

— Wiesz, gdzie ja mam cały twój humanitaryzm? — zawołał Dworzak. Podjeżdżali do Jaropola; świtało i chłodne jasne miasto tkwiło na wzgórzu w kryształowo-niebieskiej ciszy.

— W nosie mam wszystkie humanitaryzmy! — gniewał się stary trener. — Dość już tego! Wlokłem na swoje nieszczęście tego sukinsyna Kabatchka... Dość! Każdy ma w życiu swoje przeznaczenie. Twoim przeznaczeniem jest boks. To jedyne, co potrafisz w życiu. A wlałeś między znachorów i uzdrowiaczy. Miliony ludzi oglądało ciebie, trzymali za ciebie kciuki, wierzyli, a tyś ich zdradził.

I mnie zdradziłeś. Tak, zdradziłeś! Prawdę wyróżył ci ten Alfred Makaronow. Zawiodłeś cały kraj! Bo mięczak z ciebie i smarkacz... Chcesz dopomóc wszystkim? Nie uda ci się, chłopcze!

— Czego się wydzierasz? — odpowiedział Jarosław — Jeszcze nie wszystko przepadło. Wkrótce będzie mecz, przygotuję się i dam w kość temu Meissnerowi. Zobaczysz, że go pokonam.

Wjechali do miasta, które jeszcze spało, jedynie służba drogowa na skrzyżowaniu przyjrzała się uważnie ich volkswagenowi, ale nie zatrzymała ich.

Jarosław podwiózł Wiaczka do nowego budynku na ulicy Kosmonautów. Naprzeciw — w parku — zaspany dozorca polewał skrupulatnie żeliwny posąg dziewczyny pośrodku niewielkiego basenu, w którym kiedyś pływały czerwone rybki.

— Żegnaj — rzucił Wiaczek wyciągając walizkę. Nawet nie spojrzął na Jarosława.

— Kiedy trening? — zapytał Jarosław obojętnie.

Dworzak odpowiedział nie od razu. Odniósł najpierw do drzwi upstrzoną naklejkami hotelowymi walizkę, potem wrócił, zabrał z siedzenia teczkę i nie patrząc nawet na Jarosława burknął:

— Jutro o dwunastej. Ale pamiętaj...

Jarosław zatrzasnął drzwiczki samochodu i pojechał na pocztę zamawiać rozmowę z Kiemierowem.

Od redaktora

Zupełnie możliwe, że czytelnikowi, który zechce zapoznać się z tą kroniką, nasuną się różne, całkiem uzasadnione pytania: gdzie znajduje się Jaropol? Co to za miasto, którego nie ma na mapie Ukrainy? Dlaczego wśród bohaterów powieści natrafiamy na takie dziwne postacie, jak na przykład hipnotyzer Alfred Makaronow, pierwszy prezydent republiki A. W. Myktaś, laureat Nagrody Nobla profesor Chołodny, albo najlepszy bokser świata Jarosław Hamalija? Dlaczego w tym mieście dzieją się jakieś niewiarygodne wydarzenia? Czemu autor powieści wypowiada się dość często językiem starej kroniki, chociaż jego utwór datowany jest rokiem 1998?

Otóż spróbuję odpowiedzieć na te pytania, wykładając główne motywy, które, jak mi wiadomo, skłaniały autora do pisania w takim właśnie stylu. Pracując nad rękopisem autora *Kroniki*, dowiedziałem się, że był naukowcem. Ludzie nauki, z którymi się stykał, i środowisko uczonych wyostrzyły poczucie niezwykłości i fantastyczności wielu przejawów życia XX wieku. Ten dziwny świat, w którym żyli niegdyś fizycy i biolodzy, stał się później rzeczywistością i wymagał nowych środków kreowania. Jakich? Wydaje mi się, że autor *Kroniki* nie wiedział tego dokładnie. Niemniej usiłował odkryć nowe właściwości prozy na drodze fantazji, umowności i groteski. I jeszcze jedno. Wiadomo mi doskonale, że Mikołaj Gogol był najulubieńszym pisarzem autora *Kroniki*. Od Gogola właśnie, człowieka, który ujawnił całemu światu ukraiński świat dziwów — uczył się nieustannie anonimowy autor *Kroniki*, pragnąc stworzyć własny model literacki współczesnego życia. Ja zaś ze swej strony mogę dodać, że będę pracował nad rękopisem *Kroniki*, przygotowując następne jej części do druku, aby nasze społeczeństwo mogło zapoznać się w całej rozciągłości z wielotomową i barwną historią miasta Jaropola.

Spis rzeczy

Wstępne słowo do czytelników moich szlachetnych, dla których zacząłem pisać tę historię 5

Rozdział pierwszy, w którym będzie mowa o występach cyrku z udziałem słonia Jumbo, sióstr Mangoupe-Calais, Człowieka Bez Rąk, kłowna Wolfganga Dżu-Si, iluzjonisty Basileusa oraz wielkiego maga i czarodzieja Alfreda Makaronowa, gdzie spotkamy również przyszłych bohaterów naszej powieści i gdzie znajdzie się miejsce dla rozważań nad pewnymi problemami ogólnoludzkimi 7

Rozdział drugi, w którym będzie mowa o dziwnych przygodach A. W. Mykytasia — prezydenta Jaropolskiej Republiki, który z racji tej funkcji zaznał wiele radości i smutku, o czym przekonamy się, kiedy wspomnimy chociażby historię płonącego rumaka privatdozenta Możara 24

Rozdział trzeci, w którym autor wyjaśnia, kiedy i z jakiego powodu Wasyl Hryża, inspektor Państwowej Inspekcji Drogowej, spotkał ciężarówkę przedziwnej konstrukcji, przeczącej zasadom ruchu, a także opowiada o Iwanie Smole oraz jego ojcu Kindracie, o którym wspomniano już w naszej poprzedniej opowiadce 45

Rozdział czwarty, którego treścią nie jest nic innego, jak prezentacja pewnej hipotezy biochemicznej, której nie można interpretować w sensie teologicznym, co udowodnił eksperymentalnie po szeregu sporów z doktorem Stülpnaglem nasz rodak, laureat Nagrody Nobla, profesor M. S. Chołodny 61

Rozdział piąty, w którym autor wpadając w nastrój sentymentalny, przypomina zapomnianą historię pociągu

Paryż—Jaropol, a jednocześnie bada historię miłości od pierwszego wejrzenia w aspekcie międzynarodowym, relacjonując przede wszystkim wzruszające dzieje współczesnych mu Romea i Julii 82

Rozdział szósty, oparty całkowicie na prawdziwych faktach z życia ludowej malarki Marty Poliszczuk na tle historycznych wydarzeń związanych z przyjazdem von Brückena do Riabego Chutoru; w rozdziale jest także mowa o tajemniczych właściwościach malowideł Marty Poliszczuk, która została później stałą mieszkanką Jaropola i o tym, co z tego wynikło 100

Rozdział siódmy, w którym trafiamy od razu na bokserkie mistrzostwa Europy akurat w tym tragicznym momencie, kiedy znokautowano Jarosława Hamaliję; zaczynamy również rozumieć tajemnicze okoliczności, które spowodowały jego przegraną i z którym w żaden sposób nie może pogodzić się stary Dworzak 126

Od redaktora 142

Jurij Szczerbak pisarz ukraiński, z zawodu lekarz, znany w Polsce z dwóch powieści, «Kwarantanna» i «Transplantacja», jest także scenarzystą, rysownikiem i filmowcem. Wszystkie te zainteresowania znalazły wyraz w «Kronice miasta Jaropola», powieści, według określenia samego autora, „chimerycznej”.

Powieść, jak wskazuje sam tytuł, jest rodzajem oryginalnej kroniki dziejów fikcyjnego miasta Jaropol, którego burzliwą historię, czasem bohaterską i tragiczną, czasem zabawną, autor ukazuje na przykładzie losów jego mieszkańców, ludzi zawsze niezwykłych, nieprzeciętnych.

Na barwny kalejdoskop wydarzeń i postaci składa się siedem opowieści o losach siedmiu bohaterów, ujętych w konwencję realno-fantastyczną, która zaciera granice między fikcją a rzeczywistością, ale łączy przeszłość ze współczesnością, czyniąc z książki Szczerbaka wielce oryginalną powieść psychologiczno-obyczajową.

104/50